



ALISON ROBERTS

**Prawdziwa
doskonałość**

Tytuł oryginalny: A Perfect Result



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był to bajkowy dzień na ślub. Kamienny kościółek otaczało morze złocistych żonkili, które łagodnie falowały, poruszane północno-zachodnim wiatrem. Idealnie błękitne niebo także wyglądało jak z bajki. Śnieg na zboczach Alp Południowych dowodził, że jeszcze daleko do końca sezonu narciarskiego, lecz poza tym sierpień w Canterbury w Nowej Zelandii wyraźnie zwiastował nadejście dobrych rzeczy. Budził nadzieję.

Toni Bagien na moment przymknęła powieki i wsłuchiwała się w melodyjny głos pastora.

- Kochani, zebraliśmy się tutaj, aby w obliczu Boga i w obecności członków tej kongregacji połączyć węzłem małżeńskim tego mężczyznę i tę kobietę...

Toni czuła niepowtarzalną magię tej ceremonii i piękno publicznego wyznania uczuć. Dobrze wiedziała, jaka wzruszona musi teraz być Sophie Bennett. Oliver Spencer wibrującym z emocji głosem powtarzał przysięgę małżeńską, a Sophie za chwilę miała obiecać mu to samo, co on jej - miłość i przywiązanie. Na resztę życia.

Te słowa poruszyły Toni do głębi. Nieważne, o czym świadczą dane statystyczne. Niektórzy ludzie znajdują swą drugą połowę, są wierni, lojalni i na tyle skłonni do poświę-

ceń, że ich związek jest w stanie przetrwać próbę czasu, stać się wartością nie umniejszoną żadnymi statystykami i nie spisana na straty jako niemodna instytucja. Niektórzy ludzie nadal wierzą w małżeństwo. Tacy jak Sophie i Oliver.

RS

Jak ona, Toni.

- Będziecie się kochać, darzyć szacunkiem i dbać o siebie nawzajem, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy.

Toni spojrzała na swój bukiet: maleńkie żonkile wśród miniaturowych białych różyczek i delikatnej gipsówki. Dziś pierwszy raz stała w pobliżu ołtarza jako członkini weselnego orszaku. Z dala od innych gości, blisko pastora. Z łatwością mogłaby sobie wyobrazić, że to jej ślub. Gdyby ktoś machnął czarodziejską różdżką, Sophie i Oliver zniknęliby, a tutaj stałaby teraz w ślubnej sukni ona, Toni, i... Josh Cooper.

- Mogę prosić obrączki? - Pastor popatrzył na druźbę.

Josh sięgnął do lewej kieszeni marynarki, potem do prawej, i na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji. Toni zamarła, lecz Josh nagle szeroko się uśmiechnął i z górnej wewnętrznej kieszonki wyjął skórzane etui. Oliver i Sophie zerknęli na siebie z rozbawieniem, lecz Toni spiorunowała Josha wzrokiem.

Josh słyszał z tego, że w każdej sytuacji umiał rozładować napiętą atmosferę. Jeśli emocje sięgały zenitu, zawsze czymś je neutralizował. Aż dziw, że Oliver zdołał go namówić do zostania druźbą. Josh wpadał w popłoch na sam dźwięk słowa „małżeństwo”. Najmniejsza wzmianka o ślubie działała na niego zniechęcająco, a kobieta, która ją uczyniła, przestała go interesować. Toni przekonała się o tym wielokrotnie.

- Ogłaszam was mężem i żoną - uroczyście powiedział pastor. - Może pan pocałować pannę młodą - dodał z dobroliwym uśmiechem.

Toni z zapartym tchem obserwowała grę uczuć na twarzy Olivera, gdy odrzucał z twarzy żony welon. Oddałaby wszystko, aby jeden jedyny raz w życiu mężczyzna spojrzał na nią właśnie tak. Poczwała pod powiekami łzy i gwałtownie

zamrugła, aby je powstrzymać. Miała nadzieję, że tusz do rzęs jest wodoodporny. Od dawna się nie malowała i nie spytała, jaki to kosmetyk. Zresztą, to Sophie ją namówiła do skorzystania z dodatkowych usług w salonie fryzjerskim. Z okazji tego ślubu Toni i tak znacznie zmieniła swój wygląd, więc dała się przekonać również do makijażu.

Pocałunek się przedłużał, co usatysfakcjonowani goście przyjęli zbiorowym westchnieniem. Zadowolona z tego finału Toni zerknęła na Josha, aby zobaczyć, czy i on podziela entuzjazm młodej pary. Ale Josh nie patrzył na Olivera i Sophie. W zamyśleniu przyglądał się jej, Toni. I przysunął się do niej, gdy młodzi poszli podpisać dokumenty.

- Wyglądasz... jakoś inaczej - mruknął jakby z pretensją w głosie, błędząc spojrzeniem po jej twarzy.

- Naprawdę? - Serce Toni zabiło szybciej. Jak dalece inaczej? Na tyle, aby Josh spojrział na nią innym okiem? Aby ujrzał w niej nie tylko godną zaufania współpracownicę o anielskiej cierpliwości i specjalistkę od czarnej roboty? Aby w koleżance dostrzegł kobietę?

- To pewnie ta sukienka - stwierdziła lekkim tonem. - Pierwszy raz widzisz mnie wystrojoną.

- Hm. - Josh przesunął wzrokiem po jej figurze w prostej kreacji z żółtego jedwabiu, po czym uśmiechnął się i jakby trochę zadumany skinął głową. - Nieźle, *Mokradelko*.

- Dzięki - odparła cierpko. Czy Josh ma pojęcie, jak ona nienawidzi tego słowa? Chyba nie. Nigdy nie protestowała, gdy tak się do niej zwracał, ponieważ zawsze robił to serdecznie. Niewątpliwie lubił swą administratorkę, lecz rzadko okazywał to w inny sposób, toteż Toni ceniła nawet i ten. Niedawno jednak to przezwisko zaczęło ją irytować. Kojarzyło się z czymś mrocznym i bagnistym. Takim nieciekawym jak właśnie ona.

Trawnik w przykościelnym ogrodzie okazał się trochę

wilgotny i grząski, lecz nikt nie narzekał, dywan z kwitnących hiacyntów i sękaty pnie starych dębów stanowiły bowiem idealne tło dla ślubnych zdjęć.

- Jak moja szminka? - spytała zaniepokojona Sophie, gdy fotograf wszystkich ustawił.

- Mnie smakowała - stwierdził Oliver.

- Nie o to pytam. Co, zjadłeś całą?

- Jeszcze sporo zostało - zapewniła Toni i odsunęła welon trochę dalej od twarzy Sophie. - Szkoda ukrywać tę wspaniałą fryzurę - mruknęła.

Dłgie do ramion, proste włosy panny młodej były zwinęte

w wymyślny węzeł ozdobiony maleńkimi białymi kwiatkami, a drobne loczki wdzięcznie opadały na czoło i uszy.

- Twoją na szczęście widać w całości. - Sophie uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Jest fantastyczna.

- Mnie też się podoba - przyznała Toni. - Gdyby nie twoja fryzjerka, nigdy bym się nie zdecydowała na coś takiego.

- Już wiem, co cię tak odmieniło! - triumfalnie oświadczył Josh. - Masz rozpuszczone włosy.

Toni i Sophie spojrzały na siebie z uśmiechem.

- Ach, ci mężczyźni! - jęknęła Sophie. Wzięła Olivera pod ramię i z rozpromienioną miną spojrzała na fotografa.

- Wszyscy jesteście beznadziejni!

Najwyraźniej nie można było oczekiwać, że Josh zauważy taki drobiazg jak skrócenie włosów Toni o połowę. Teraz sięgały łopatek, a mistrzowskie wycieniowanie ujawniło fale, o których istnieniu Toni do tej pory nie miała pojęcia.

- Ale jest jeszcze coś oprócz włosów, prawda? - Josh zignorował prośbę fotografa błagającego o patrzenie w obiektyw i nadal chłonął wzrokiem Toni.

- Powiedz mu, Toni - poradził Oliver - bo nigdy nie skończymy tej sesji.

- Nie mam na nosie okularów - wyjaśniła. - Już ich nie potrzebuję.

Josh milczał, trochę zakłopotany faktem, że przeoczył coś tak oczywistego. A Toni zrobiło się go żal. Wiedziała, jak bardzo zmienił się jej wygląd. Sama zaniemówiła z wrażenia, gdy szykując się z Sophie do ceremonii, spojrzała w lustro. Nagle poczuła się jak bohaterka starych filmów, która zdejmując okulary, rozpuszcza włosy i z szarej myszki zmienia się w piękność.

Tym razem transformacja trwała nieco dłużej. Trzy miesiące temu Toni poddała się laserowemu zabiegowi korygującemu krótkowzroczność, lecz dopiero parę dni temu definitywnie przestała nosić okulary. Na razie czuła się bez nich trochę dziwnie, wręcz bezbrannie. Zwłaszcza teraz, gdy Josh patrzył na nią tak badawczo. Oczywiście był zdziwiony, lecz sprawiał też wrażenie trochę zaniepokojonego - jakby się obawiał, że bardziej atrakcyjna Toni będzie gorzej pracować.

Toni westchnęła cichutko i odwróciła się twarzą do obiektu. Fotograf wykonał serię zdjęć młodej pary, następnie poprosił o pozowanie druhnę i drużbę. Stojąc na trawniku tylko z Joshem, Toni poczuła się zanadto wyeksponowana. Uśmiechnęła się trochę ponuro i utkwiała wzrok w grupie gości daleko za aparatem fotograficznym.

Obok pastora stała przełożona pielęgniarek Janet Muir i dawała burę swoim synkom bliźniakom. Pastor także patrzył z dezaprobatą na chwilowo skruszonych chłopców, którzy ściskali w rączkach żonkile. Na widok dwójki maluchów Toni bezwiednie wesoło się uśmiechnęła. Na polecenie fotografa bez wahania przysunęła się do Josha i wzięła go pod ramię.

- To trochę przerażające, prawda? - mruknął. - Podczas ceremonii oblałem się zimnym potem na myśl, że to ja mógłbym właśnie stać na miejscu Olivera.

- Bliskość ołtarza sprawiła cię w popłoch, co? - Toni

przelotnie spojrzała na twarz Josha. Ciekawe, czy rzeczywiście jest takim zaprzysiężonym wrogiem małżeństwa? A może te wielokrotnie wyrażane poglądy są tylko na pokaz? Ale cyniczny uśmiezek Josha rozwiął wszelkie wątpliwości.

- Dobrze mnie znasz, *Mokradelko*. W życiu się tak nie poświęcę. Dla nikogo.

Owszem, znała go nieźle. Wiedziała, jaki jest żyjący na maksymalnych obrotach Josh Cooper. Miłośnik szybkich aut i łatwych kobiet. Prawdziwy hedonista uwielbiający wykwintne wina i potrawy, taniec i sporty wysokiego ryzyka. Zwolennik wszystkiego, co zwiększa poziom adrenaliny. Osobnik często powtarzający takie chwytliwe powiedzonka jak „Życie jest zbyt krótkie” i „Trzeba iść na całość”. Człowiek, który żadnych spraw osobistych nie bierze poważnie. Ale dziś Toni musiała przyznać, że przejął się rolą drużby.

Dopilnował przejazdu gości na miejsce przyjęcia, a teraz dosłownie dwoił się i troił. Nie zasiadł przy stole, tylko dolewał wszystkim szampana, prowadził do bufetu wiekową ciotkę Olivera i dyskutował z nią o zaletach potraw nakładanych na jej talerz oraz starał się pogawędzić z każdym, kto akurat był wolny. Niedawno zrzucił marynarkę ciemnoszarego garnituru, podwinął rękawy jedwabnej koszuli i rozpiął kamizelkę. Mimo to nadal był bardziej elegancki niż inni mężczyźni. Toni dyskretnie śledziła go wzrokiem, zapominając o deserze.

- Wyglądasz bosko, Toni. - Obok niej usiadła Janet. - Prawie cię nie poznałam, gdy weszłaś do kościoła.

- Dzięki, Jan. Nie jestem pewna, czy sama się rozpoznaję. - Toni uśmiechnęła się do koleżanki. - Masz śliczną sukienkę. Do twarzy ci w tym kolorze.

Szafirowy odcień kreacji Janet Muir był o ton ciemniejszy

od barwy jej oczu, a przepaska z tej samej tkaniny przytrzymała gęste kasztanowe loki.

- Mam nadzieję, że się nie rozleci, dopóki nie wrócę do domu. Skończyłam ją szyć o drugiej nad ranem. Dół ledwie się trzyma. - Janet rozejrzała się wokół i zmarszczyła brwi.

- Widziałaś bliźniaków?

- A jakże! - Toni z trudem zachowała powagę. - Zrywali kremowe różyczki z weselnego tortu.

- O, nie! - jęknęła Janet. - Małe potwory. A obiecali się dobrze zachowywać.

- Nie martw się. - Toni poklepała ją po ręce. - Josh już się nimi zajął. Spójrz.

Ruchem głowy wskazała główny stół. Obok Josha stali bliźniacy w takich samych dzinsowych kurteczkach. Przez ramię mieli przerzucone białe serwetki, a dwie jasnowłose, kędzierzawe główki pochylały się z przejęciem. Obaj malcy trzymali w obu rączkach po butelce szampana.

- Oho - mruknęła Janet. - To kiepski pomysł, Josh.

Ale chłopcy radzili sobie całkiem nieźle. Josh początkowo

dyskretnie podtrzymywał dno butelek, gdy Adam i Rory napełniali kieliszki. Ale po krótkiej praktyce obaj mali kelnerzy nabrali wprawy. Zadowoleni ze swych osiągnięć, uśmiechali się od ucha do ucha. Goście też byli zachwyceni. Josh postukał nożem o szklankę i poczekał, aż gwar ucichnie, by wygłosić okolicznościowe przemówienie.

- Małżeństwo to podobno wspaniały wynalazek, ale to samo mówi się o zestawie do naprawy rowerowych dętek

- oświadczył, a wszyscy parsknęli śmiechem. - Osobiście nie miałem okazji wypróbować żadnego z nich, lecz patrząc dziś na Olivera i Sophie jestem skłonny zgodzić się z opinią, że małżeństwo to triumf nadziei nad doświadczeniem. Jeśli uznać moją współpracę z Oliverem Spencerem za podstawę

do wróżb na przyszłość, to nadzieja ma wielką szansę.

Rozległ się zbiorowy pomruk aprobaty, a Toni spojrzała na młodą parę. Oliver i Sophie czule patrzyli sobie w oczy, trzymając się za ręce. Ale uwagę wszystkich skupiał na sobie Josh, który z kieliszkiem w dłoni zaczął opowiadać o początkach swej znajomości z Oliverem. Cztery lata temu zostali współwłaścicielami małej poradni St. David's.

Cztery lata, w myślach powtórzyła Toni. A wydaje się, że to było wczoraj. W ustach Josha brzmiało to tak, jakby Oliver samodzielnie uratował podupadającą poradnię i zmienił ją w kwitnące centrum medyczne. Ale Toni знаła prawdę lepiej niż ktokolwiek. Rozpoczęła tam pracę dziesięć lat temu. Josh był wtedy dwudziestoosmioletnim, pełnym entuzjazmu lekarzem, który właśnie odkupił praktykę od przechodzącego na emeryturę doktora Jamiesona. Starszy pan już dawno powinien był to zrobić. Od lat miał coraz mniej pacjentów, ponieważ odchodzili gdzie indziej, zniechęceni jego powolnością i staroświeckimi metodami leczenia.

Poradnia nie zmieniła się na lepsze z dnia na dzień. Początki były trudne. Dopiero po trzech latach liczba pacjentów wzrosła do poziomu gwarantującego zyski uzasadniające dalsze istnienie placówki. W tamtym okresie Toni dawała z siebie wszystko, często pracując dłużej niż na pół etatu, za które jej płacono. I całym sercem cieszyła się ze znakomitej opinii, jaką wśród pacjentów miał Josh.

Podzielała też jego entuzjazm, gdy przyjął Olivera Spencera jako młodszego współlnika, a wkrótce potem zatrudnił Janet Muir. Sama też została doceniona i została kierowniczką administracji. Razem stworzyli zgrany zespół, od niedawna zasilony osobą Sophie. Toni uśmiechnęła się do niej i w tej samej chwili uczynił to Josh.

- Sophie na początku tego roku podjęła u nas pracę jako internista. - Josh jeszcze nie skończył mowy, której Toni słuchała jednym uchem. - Oliver z radością został jej szefem i mentorem. Czasem się zastanawiałem, czego naucza na tych szkoleniowych sesjach.

Josh znów poczekał, aż chichoczący goście przycichną. Niewątpliwie świetnie się bawili, gdy raczył ich historyjkami o śmiesznych incydentach, jakie zdarzyły się podczas jego współpracy z Oliverem. Wszyscy byli w doskonałych humorach, gotowi wznieść toast, do którego Josh wyraźnie zmierzał.

- Wiedzieliśmy, że Sophie planuje ślub - ciągnął po chwili milczenia. Kilka osób znacząco spojrzało po sobie, a Sophie się zarumieniała. Jej długotrwałe narzeczeństwo nie było dla nikogo tajemnicą. - Stopniowo przyzwyczajaliśmy się do myśli, że Sophie zmieniła zamiar, lecz nagle odkryliśmy ślubne plany Olivera. - Josh powoli pokiwał głową. - To wszystko nabrało sensu, gdy wyszło na jaw, że oni zamierzają wziąć ślub z sobą. I właśnie dziś to zrobili.

Josh umilkł na kilka długich sekund, a goście patrzyli na niego wyczekująco. Spodziewali się jakiegoś nadzwyczajnego żartu na zakończenie mowy, czegoś, co może powiedzieć tylko ktoś obdarzony tupetem Josha. Na twarzach Sophie i Olivera odmalowało się rozbawienie pomieszane z rezygnacją. Lecz Josh nieoczekiwanie spoważniał i utkwiał wzrok w nowożeńcach.

- Podczas indiańskiej ceremonii zaślubin padają następujące słowa: Już nigdy nie zmoży was deszcz, ponieważ będziecie dla siebie nawzajem schronieniem. Już nigdy nie zmarzniecie, ponieważ będziecie dla siebie nawzajem ciepłem. Już nie grozi wam samotność. Nadal jest was dwoje, lecz przed wami tylko jedno życie.

Josh uniósł kieliszek.

- Za Sophie i Olivera - powiedział, przerywając ciszę.

Toni chciała powtórzyć ten toast, ale słowa uwięzły jej w gardle. Znów poczuła pod powiekami łzy i zauważyła, że kilka osób także sięgnęło jednocześnie po kieliszek i chusteczkę. Wciąż miała zamglone oczy, gdy krojono ślubny tort. Jakim cudem Josh wymyślił coś tak pięknego? I takiego głębokiego! A może wzruszyła się tak bardzo tylko dlatego, że nie spodziewała się po nim niczego serio?

Jakby chcąc zatrzeć wrażenie po swym emocjonalnym wysoku, Josh rzucił się w wir zabawy. Znów krążył w tłumie gości, podawał talerzyki z tortem i żartował z zachwyconymi jego osobą młodymi kuzyneczkami Olivera.

Niby dlaczego nie? Toni dopiła szampana i westchnęła. Josh na pewno może być obiektem uwielbienia każdej obecnej tu dziewczyny. Był zbyt dobrym i szanowanym lekarzem, aby cokolwiek - nawet etykiетка kobieciarza - mogło zepsuć mu opinię.

Był też bardzo przystojny i pewny siebie. Emanował sympatią do ludzi, miał poczucie humoru i rzeczywiście potrafił się bawić. Wszyscy uwielbiali Josha Coopera. Toni Bagien także. Lecz ona kochała nie tylko publiczny wizerunek Josha. Znała również te cechy jego charakteru, których on tak łatwo nie ujawniał. Na przykład jego miękkie serce wobec dzieci, do czego głośno nigdy w życiu by się nie przyznał. Bywał też autentycznie smutny, gdy już w żaden sposób nie mógł pomóc pacjentowi. A czasem, gdy miał kaca, wyładowywał na niej zły humor, lecz Toni zawsze mu to wybaczała. Wiedziała o prawdziwym Joshu dużo więcej niż inni. I kochała w nim wszystko.

Właśnie sprzątnięto ze stołów i odsunięto je na bok, gdy Janet Muir zawołała synów.

- Chętnie zostałabym na tańce - przyznała z żalem, żeg-

nając się z Toni - ale muszę zabrać tych urwisów do domu.
A ty koniecznie złap bukiet!

- Jeśli mi się uda, oddam go tobie - z uśmiechem odparła Toni. - Dla mnie chyba jest trochę za późno.

- Z pewnością robi się późno dla tych malców. - Janet pieszczotliwie zwichrzyła czupryny zmęczonych bliźniaków. - Och, spójrz, Sophie i Oliver tańczą. Wyglądają ślicznie, prawda? - Adam i Rory ziewnęli, a ich mama pokiwała głową. - Idziemy, dzieciaki. Pora spać.

Po wyjściu Janet obok Toni zmaterializował się Josh.

- Musimy zatańczyć. - Chwycił ją za rękę. - To nasz obowiązek. Musimy dać gościom sygnał do zabawy. Przeczytałem o tym w poradniku „Jak być drużbą”.

Toni próbowała stłumić rozczarowanie. Czy Josh zatańczyłby z nią, gdyby nie obowiązek? Na moment zapomniała o tych wątpliwościach, gdy Josh wziął ją w ramiona i przez jedwab sukni poczuła na plecach jego ciepłą dłoń.

Właściwie знаła to doznanie. Zdarzało się, że w pracy Josh czasem jej dotknął - przelotnie uściśnął ramię lub poklepał po ręce, wdzięczny za wykonane zadanie. A w urodziny lub przy równie ważnej okazji - nawet przytulił. I zawsze wywoływało to podobny skutek, który teraz boleśnie wzmocniły romantyczne tony walca. W tej chwili Toni czuła się tak, jakby oferowano jej kieliszek najwspanialszego wina. Brzeg pucharu stykał się z jej ustami, wdychała cudowny aromat trunku i wiedziała, że jeśli pozna jego smak, już nigdy nie zechce spróbować innego wina. I właśnie wtedy, gdy płyn niemal dotykał jej warg, ktoś ów kieliszek zabierał.

Josh obejmował ją tak delikatnie, jakby znał jej rozterki.

- Chyba rozklejasz się na weselach? - Spojrzał na nią z łagodnym współczuciem. - Naprawdę wierzysz w te obietnice typu „na dobre i na złe”?

- Tak - przyznała cicho. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Josh wyraźnie zeszywniał i oboje pomylili kroki. Toni

wyczuła jego napięcie i skarciła się w duchu za to, że palnęła coś nieodpowiedniego. Josh nad jej ramieniem obserwował pary, których przybywało na parkiecie.

- Sądysz, że już spełniliśmy nasze obowiązki? - W głosie Josha zabrzmiało zakłopotanie. - Obiecałem kuzynkom Olivera po jednym tańcu i nie mogę ich zawieść.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Toni. - Coś takiego zepsułoby ci opinię. - Pośpiesznie wysunęła się z jego objęć.

- Zresztą, i tak chwilowo mam dość tańczenia.

Usiadła przy stoliku i stwierdziła, że jej kieliszek jest pusty. Dolewający gościom szampana kelner zerknął w jej stronę, lecz Toni odwróciła wzrok. Nadmiar alkoholu nigdy niczego nie rozwiązuje.

Muzyka nagle się zmieniła. Słyszając głośnie dźwięki rock and rolla, Josh wydał radosny okrzyk i błyskawicznie zaraził swoim entuzjazmem wszystkich gości. Na parkiecie rozpełtało się taneczne szaleństwo.

- Przypadek beznadziejny. - Sfrustrowana Toni pokręciła głową, ale się uśmiechnęła. - Cóż, niech zacznie się zabawa! - Uniosła kieliszek, wzywając kelnera. - A co mi tam!

- mruknęła.

To ona jest beznadziejna. Od dawna beznadziejnie zakochana w kimś, kto o tym nie wie. I nie chce wiedzieć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Była już dziewiąta, a doktor Cooper jeszcze się nie zjawił. Pani Bradshaw westchnęła, przeglądając ilustrowane czasopismo, a Toni niespokojnie zerknęła na zegar i odebrała telefon.

- Centrum medyczne St. David's. - Sięgnęła po ołówek. - Przykro mi, panie Campbell, doktor Spencer przez tydzień będzie nieobecny. - Przez chwilę znów słuchała swego rozmówcy. - Doktor Cooper ma dziś komplet, ale po południu zacznie dyżurować jego zastępca. Czy to pilne? - Toni przerzuciła kilka kartek terminarza. - Może w następnym wtorek? O dziesiątej? - Wpisując do rubryki nazwisko, spojrzała na drzwi, ale otworzyła je młoda kobieta z niemowlęciem w samochodowym foteliku, a nie Josh.

- Cześć. Przywiozłam Melisę na badanie.

Toni wychyliła się zza wysokiego blatu i spojrzała na śpiące maleństwo.

- Och, Jenny, ona jest rozkoszna! - stwierdziła z zachwytem. - Co słyhać?

- Z wyjątkiem braku snu, wszystko dobrze.

- Usiądź. Janet wkrótce się wami zajmie, a doktor Cooper później zbada Mellisę. - Miejmy nadzieję, dodała w duchu, po czym załatwiła kolejny telefon i skinęła głową wchodzącej do recepcji Janet.

- Lista przypomnień gotowa? - spytała pielęgniarka.

- Proszę. - Toni podała jej wydruk z nazwiskami pacjen-

tów, którym należy przypomnieć o terminie badania, analizy lub szczepienia. Komputer aktualizował tę listę w każdy poniedziałek. - Widziałaś Josha?

- Parkuje samochód.

- On rzadko się spóźnia. - Toni trochę się zasepiła. -

Chyba się nie pochorował?

- Jeśli nawet, to rezygnacja z paru szampańskich przyjęć wyjdzie mu na zdrowie - z uśmiechem odparła Janet. - Dam głowę, że wczoraj miał gigantycznego kaca po tym weselu.

- Było cudowne, prawda? - Toni rozpromieniła się. - Oliver i Sophie wyglądali na takich szczęśliwych.

- Uhm. — Janet spojrzała w okno. - Ale to chyba nie przeszło na drużbę- dodała z westchnieniem. - Przyślij Jenny do pokoju zabiegowego.

Josh sztywno przeciął poczekalnię i wszedł do recepcji. Upuścił na podłogę torbę, po czym sięgnął do koszyka po karty pacjentów, przewracając przy tym szklankę wody.

- Ojej! - Toni chwyciła terminarz, ratując go przed potopem.

- Idiotyczne miejsce na stawianie pełnej szklanki - burknął.

- Twoją pierwszą pacjentką jest pani Bradshaw - spokojnie poinformowała Toni. - Jej karta leży na wierzchu.

Josh chrząknął.

- Kiedy zjawi się ten zastępca?

- Po południu. To doktor Mareszka Singh.

- Super. Może do jego odejścia nauczę się wymawiać to durne imię.

- To kobieta - wycedziła Toni. Zauważyła, że pacjentka Josha mierzy ich surowym wzrokiem. - Mam wprowadzić do gabinetu panią Bradshaw?

Josh skinął głową i stopą przysunął torbę.

- Zajmij się tymi ciuchami, dobrze, Toni? Trzeba je oddać do pralni. - Tej prośbie towarzyszył uśmiech, który Toni natychmiast rozbroił. Popatrzyła uważniej na twarz Josha. Pod piwnymi oczami widniały sine cienie, a wywołane uśmiechem zmarszczki po obu stronach ust wydawały się głębsze niż zwykle. Nawet lekka siwizna w jego kasztanowych włosach była dziś jakby bardziej widoczna.

- Chcesz kawy, Josh?

- Jesteś aniołem, *Mokradelko*. Czarna, dwie kostki cukru.

- Wychodząc na korytarz, Josh trochę się rozpogodził.

Toni wysłała do niego panią Bradshaw, a Jenny z dzieckiem do pokoju zabiegowego, po czym przywitała dwóch kolejnych pacjentów. W tej samej chwili do recepcji zajrzał ogrodnik.

- Żywopłot domaga się strzyżenia - oświadczył. - Mam teraz się tym zająć?

- Tak, George, dzięki.

Toni przełączyła telefon do pokoju dla personelu i poszła zaparzyć kawę. Napełniła elektryczny czajnik i wcisnęła przycisk, lecz woda nie zaczęła szumieć. Okazało się, że nie ma prądu - na szczęście tylko w kuchni. Toni wróciła więc do biurka, żeby zadzwonić po znajomego elektryka. Pani Bradshaw już czekała, by uregulować rachunek, a z pokoju zabiegowego dochodziło pełne urazy zawodzenie. Widocznie Josh zbadał maleńką Melissę i Janet ją szczypliła.

- Myślałem, że przyniesiesz mi tę kawę- żałośnie jęknął Josh, gdy po chwili przyszedł po kartę następnego pacjenta.

- Nie ma prądu - wyjaśniła Toni. - Ale pracuję nad tym.

- Sprawdziłaś bezpieczniki?

- Nie - odparła bez zmrużenia powiek. - Wezwałam elektryka. Już tu jedzie.

Josh odszedł, mrucząc, że to niepotrzebny wydatek. Toni

puściła te narzekania mimo uszu. Miała nadmiar pracy i bez prób okiełznania tajemniczej szafki z bezpiecznikami. Jednak nieprzewidziany problem techniczny sprawił, że rano stał się jeszcze bardziej nerwowy. Gdy Josh wyszedł za kolejnym pacjentem, Toni była wyraźnie rozdrażniona.

- Rozmawiałam z recepcjonistką doktora Braithewaite'a. Bill Watson jest zapisany do niego na dziś, a jeszcze nie dostali od nas skierowania. Chcą, żeby je zaraz przefaksować.

- Więc zrób to - burknął Josh. - W czym problem?

- Nie podyktowałeś mi tego listu.

- Zrobiłem to w piątek.

- Nie. W piątek ci o tym przypominałam. I o paru innych rzeczach. Powiedziałaś...

- Mam na biurku gotową taśmę. Pewnie zapomniałem ci ją dać. Wybacz.

Skwitowała to skinieniem głowy i załatwiła następny telefon. Później jakimś cudem zdołała napisać skierowanie i je przesłać, jednocześnie załatwiając masę innych spraw. Poniedziałki zawsze były gorące, a brak Olivera i Sophie jeszcze bardziej dawał się wtedy we znaki. Toni co chwilę sięgała po słuchawkę telefonu, który dzwonił niemal bez przerwy, i kierowała przychodzących pacjentów do gabinetu. Na widok zirytowanej miny Josha, który właśnie znów się pojawił, poczuła przyływ frustracji.

- Co to za piekielny hałas za moim oknem?

- George przycina żywopłot. - Toni odwróciła się do opartego o blat mężczyzny. - Słucham pana?

- Ja w sprawie braku prądu. - Elektryk uśmiechnął się do niej pogodnie.

- Wspaniale, że pan przyszedł. - Odwzajemniła uśmiech.

- Kuchnia jest na końcu korytarza. - Gestem wskazała łuko-

wate przejście. - A szafka z bezpiecznikami - na ścianie obok gabinetu doktora Spencera.

- Nie ma też ciepłej wody, Toni. - Zza Josha wyjrzała Janet.

Josh z niedowierzaniem pokręcił głową i gryząc policzek, czekał zniecierpliwiony, aż Toni wyjaśni elektrykowi, gdzie znajduje się bojler.

- Skontaktuj się z laboratorium - polecił, gdy na moment umilkła. - Muszę dostać wyniki badania krwi i EKG Mike'a Greavesa.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Przez moment zastanawiała się, na który telefon odpowiedzieć w pierwszej kolejności.

- Potrzebuję tych wyników natychmiast! - parsknął Josh.

- Pan Greaves u mnie czeka: Może trzeba go skierować do szpitala, jeśli od soboty EKG się pogorszyło.

Toni odetchnęła z ulgą, gdy jeden telefon umilkł. Podnosząc słuchawkę drugiego aparatu, zawadziła nogą o torbę Josha. Wzięła ją, aby wstawić głębiej pod blat, i przy okazji zajrzała do środka. Ujrzała szary garnitur - chyba ten, w którym Josh był na weselu. Zapisując dane pacjenta, wciągnęła w płuca zapach ubrania Josha. Miała nadzieję, że zdąży podrzucić je do pralni podczas przerwy na lunch. Jeśli znajdzie czas na lunch.

- Muszę opróżnić bojler - oznajmił elektryk. - Wysiadł bezpiecznik topikowy. Nie będzie ciepłej wody aż do jutra.

- A prąd?

- Już jest. Z powodu spalonego bezpiecznika nastąpiło przeciążenie. Takie głupstwo sama by pani naprawiła. - Pełen uwielbienia uśmiech sugerował, że Toni umie wszystko.

- Teraz pora na kawę - stwierdził radośnie. - Dla mnie z mlekiem, bez cukru.

Parę minut później Toni energicznie zamieszała dwie ka-

wy. Czy to dziwne, że czuje się tutaj jak mebel? Taki bardzo przydatny mebel. Toni - dziewczyna do wszystkiego. Nawet elektryk to przyznał. Czy Josh zada sobie tyle trudu, aby podziękować jej za spóźnioną kawę? Chyba tak, jest przecież dobrze wychowany. Ale przy okazji pomarudzi z powodu hałasu elektrycznej maszynki do strzyżenia żywopłotu, ponarzeka na brak ciepłej wody do mycia rąk i prawdopodobnie poprosi swą administratorkę o zarezerwowanie stolika w ekskluzywnej restauracji, gdzie umówił się na randkę.

Bez Toni poradnia St. David's nie byłaby tym, czym jest. Josh też by sobie nie poradził bez swej współpracownicy. Wielokrotnie jej o tym mówił. W ciągu tych minionych dziesięciu lat Toni stopniowo stała się jednym z filarów centrum medycznego. To była jej praca, jej życie. Ale co dalej? Jak długo może robić to, co do tej pory, czyli pilnować, aby wszystko toczyło się gładko? I kochać się w kimś, kto widzi w niej tylko niezbędny element zawodowego środowiska?

Czyżby zmiana wyglądu spowodowała zasadniczą zmianę jej podejścia do życia? A może jej wewnętrzna przemiana rozpoczęła się wcześniej, całkiem niepostrzeżenie, a nowy wygląd tylko ją ujawnił? Zresztą, co za różnica. Toni zdawała sobie sprawę ze swojej transformacji i czuła, że narasta w niej dziwne napięcie.

Elektryk entuzjastycznie wyraził wdzięczność za kubek kawy, ale podziękowanie Joshua, który tylko skinął głową i się uśmiechnął, wywarło na niej większe wrażenie. Wychodząc z gabinetu Joshua, Toni delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Dlaczego niektóre rzeczy mogą ulec takiej dramatycznej zmianie, a inne nie?

Na przykład jej uczucia do Joshua? Lub to, jak on traktuje kobiety? Są dla niego niezbędną częścią życia, lecz zawsze muszą być nadzwyczajne i nieprzewidywalne. Podobnie jak

szybkie samochody, wykwintne wina i potrawy. W Joshu nigdy się nie zmieniała jedynie jego potrzeba bezustannych zmian. Nowych doświadczeń. Nowych aut, nowych kobiet...

Tak, niewątpliwie miał słabość do kobiet. Toni kolejny raz przekonała się o tym po powrocie z pralni, do której pobiegła podczas przerwy na lunch. W poradni zastała nową zastępczynię Josha. Doktor Mareszka Singh miała pod białym fartuchem żółte sari i wyglądała jak egzotyczny przepiękny kwiat. Na widok sięgających do bioder, zaplecionych w warokcz czarnych włosów Toni pożałowała, że ścięła swoje - też ciemne i długie.

Intensywny kolor sari podkreślał oliwkową karnację, a czerwona kropka na czole zwracała uwagę na wielkie czarne oczy. Hinduska lekarka mówiła płynnie po angielsku i Toni szybko zapomniała o obawach, że będzie trzeba jej asystować.

- Pracowałam przez miesiąc w przychodni w Auckland i tyle samo w poradni w Wellington - poinformowała ich Hinduska, gdy pili kawę w pokoju dla personelu. - Chcę poznać wszystkie główne ośrodki medyczne, zanim zdecyduję, gdzie zostać na stałe. Później sprowadzę matkę i dzieci.

Josh nalał sobie drugi kubek kawy. Toni trochę się zmarwiła, bo nadal nie tknęła kanapek, które przyniosła z miejscowej piekarni.

- A pani mąż, doktor Singh? - spytał Josh.

- Proszę nazywać mnie Mareszka, dobrze? Mogłabym też mówić do pana po imieniu?

- Oczywiście.

Toni zauważyła, że Janet leciutko się skrzywiła.

- Mój mąż zmarł dwa lata temu, Josh. Próbuje razem z rodziną zacząć wszystko od nowa.

- Mam nadzieję, Mareszko, że Christchurch ci się spodoba. To urocze miasto.

Janet pożegnała się i Toni poszła w jej ślady.

- Josh na pewno się panią zajmie - powiedziała ciepło - ale proszę mi dać znać, gdybym ja też mogła się na coś przydać. Popołudniowy dyżur zaczyna się o pierwszej trzydzięci.

Tuż za drzwiami Toni dogoniła Janet i obie usłyszały, jak Josh mówi:

- W śródmieściu mamy wspaniałą hinduską restaurację. Byłaś w niej?

- Jeszcze nie. Dopiero przyjechałam i... - W głosie Mareszki Singh zabrzmiała nuta wahania.

- Z przyjemnością wybrałbym się tam z tobą.

- Nie traci czasu, co? - mruknęła Janet.

- Życie jest za krótkie, żeby marnować czas - cierpkim tonem odparła Toni.

Ulubione powiedzonko Josha teraz ją rozstroiło. Życie rzeczywiście trwa zbyt krótko, a ona dopiero niedawno zaczęła sobie uświadamiać, że marnuje swoje. I to od dobrych dziesięciu lat.

Naprawdę minęło już aż tyle czasu od dnia, w którym odpowiedziała na ogłoszenie i została recepcjonistką w tej poradni? Niewiarygodne. Toni włożyła słuchawki, włączyła magnetofon i zaczęła pisać na komputerze nagrane przez Josha pismo do kardiologa.

„Dotyczy Jacoba Alana Donaldsona. Dziękujemy za zbadanie naszego siedemdziesięciodwuletniego pacjenta, który miewa coraz silniejsze duszności podczas wysiłku fizycznego”. Toni bezwiednie się uśmiechnęła. Autor listu tej treści najwyraźniej zakłada, że jego prośba o konsultację zostanie spełniona. Lekarze stanowią solidarną grupę zawodową i tra-

ktują się nawzajem z podziwu godną grzecnością, nawet jeśli nie zgadzają się co do metod leczenia.

Toni pośpiesznie opisała dotychczasowe i aktualne problemy zdrowotne pana Donaldsona. Zerknąwszy na zegar stwierdziła, że przy odrobinie szczęścia zdąży wystukać jeszcze jedno skierowanie przed popołudniowym dyżurem. Wiedziała, że zajmie to tylko parę minut. Była urodzoną sekretarką i właśnie dzięki temu dostała tę pracę. Oraz dlatego, że zrezygnowała z etatu w firmie przewozowej i zgodziła się na niepełny wymiar czasu pracy w poradni. Zmusiło ją do tego życie.

- Moja matka choruje - wyjaśniła młodemu doktorowi Cooperowi. - Chciałabym móc się nią opiekować.

Josh okazał jej wtedy współczucie i zaproponował fachową pomoc.

- Mama od wielu lat leczyła się u doktora Jamiesona. Mieszkamy niedaleko, a wołałaby nie zmieniać poradni - dodała Toni. - Ma chorobę Alzheimera. W przyszłości będę musiała wziąć kogoś do pomocy, ale wołałabym jak najdłużej radzić sobie samodzielnie.

Zrozumienie Josha podniosło atrakcyjność posady. Toni przyjęła ją bez namysłu i wkrótce zasłynęła jako osoba, która obłaskawiła komputer. Z czasem jeszcze rozwinęła te umiejętności. Posiadła też sporą wiedzę na tematy medyczne. Z takim doświadczeniem obecnie dostałaby pracę w każdej placówce zdrowia.

Telefon zadzwonił, zanim wzięła się za następne pismo. Wkrótce przyszedł pierwszy popołudniowy pacjent i chwilo- wy zastój się skończył.

- Jak tam plecy, panie Matthewson? Lepiej?

- Raczej nie, jak pani widzi. - Starszy pan ostrożnie usiadł na krześle.

- Trzeba na razie ograniczyć prace w ogródku. Żadnego poważnego kopania..

- Musiałem rozrzucić nawóz. Pora sadzić ziemniaki. We wrześnie przyniosę pani trochę takich do pieczenia.

- Dziękuję, panie Matthewson - powiedziała z uśmiechem i zaraz spoważniała, widząc grymas bólu na twarzy mężczyzny. - Doktor Cooper zaraz pana przyjmie. - Zauważyła parkującą przed wejściem furgonetkę kuriera i sięgnęła po pudło z próbkami do analizy. W lodówce było jeszcze jedno, więc poszła je przynieść. - Zawiadomię doktora Coopera, że już pan jest, panie Matthewson - rzuciła przez ramię.

Teraz wszystko szło jak w zegarku. Doktor Singh przyjęła prawie tyle samo pacjentów co Josh, i po raz pierwszy nie było nagłych przypadków, które zmuszałyby do zmiany grafiku. Janet wyszła punktualnie o piątej, aby jak zwykle odebrać synów. Pół godziny później skończyła dyżur Mareszka Singh.

- Mogłabym dostać od pani klucz? - spytała. - Lubię przygotować się trochę wcześniej.

- Czy ja wiem... Musiałabym zapoznać panią z systemem alarmowym. - Toni trochę się zasepiła. - Zawsze jestem tutaj już o ósmej, a lekarze nie przychodzą przed ósmą trzydzieści.

- To prawda - potwierdził Josh, wchodząc do recepcji. - Dajemy Toni czas na włączenie bojlera i zagotowanie wody na pierwszą kawę.

- Rozumiem. - Doktor Singh skinęła głową. - Nie będę zmieniać waszych zwyczajów. Przyjdę o ósmej trzydzieści.

- Będzie nam miło. - Josh uśmiechnął się czarująco. - I dzięki za dzisiejszą pomoc, Mareszko.

- Nie ma za co, Josh. Tutaj naprawdę miło się pracuje.

Masz wspaniały zespół. - Mareszka z sympatią spojrzała na Toni. - Panna Bagien z pewnością sama mogłaby postawić diagnozę i przepisać leki wielu pacjentom. Zna ich tak dobrze.

- Fakt - przyznał Josh. - Toni to prawdziwy skarb. Toni zerknęła na niego podejrzliwie. Co się stało? Czy owo względnie spokojne popołudnie poprawiło mu nastrój, czy swoim dobrym humorem Josh usiłuje oczarować, nową koleżankę?

- Proszę mówić do mnie Toni, doktor Singh. A co do naszych pacjentów, to rzeczywiście wiem o nich dużo, bo pracuję tu od zawsze. Stałam się jakby częścią wyposażenia. Jestem jak mebel.

- Jak mebel? - Mareszka Singh uniosła ładnie zarysowane brwi. - Nie sądzę. - Pożegnała ich uśmiechem, a sari zaszeleściło, gdy ruszyła do wyjścia.

- Mebel? - Josh zmierzył Toni byстрыm spojrzeniem. - Co to za mowa, *Mokradelko*? Chyba żartowałaś?

Wzruszyła ramionami i zebrała leżące na blacie karty pacjentów, aby odłożyć je na półkę. Nie dotarła jednak do niej, ponieważ Josh zastąpił jej drogę. Był trochę niższy od Olivera Spencera, lecz i tak dużo wyższy niż mająca metr sześćdziesiąt Toni. Patrzył na nią z góry, a ona nagle ze zdumieniem stwierdziła, że chyba powinna zrezygnować z dreptania w pantoflach na płaskim obcasie. Szpilki są następne na liście zmian.

- Jeszcze nie przywykłem do tego, że nie nosisz okularów - mruknął, jakby czytał w jej myślach. - I nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nadal czegoś nie zauważam. - Wyraźnie się zafrasował. - Chyba nie znalazłaś sobie jakiegoś faceta?

Toni zaniemówiła. Josh mówi prawie jak ktoś... zazdrosny.

- A miałyby to dla ciebie jakieś znaczenie? - Jej głos zabrzmiał nienaturalnie wysoko, gdy odzyskała mowę.

- Oczywiście, że tak.-Patrzył na nią badawczo, po czym ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. - Wiesz, że do tej pory nie miałem pojęcia, jaki kolor mają twoje oczy? Są niezwykle, z takimi jasnymi plamkami. Błyszczą jak szklanka whisky w promieniach słońca.

Toni zaśmiała się ponuro. Fakt, że Josh przez dziesięć lat widywał ją prawie codziennie i nie dostrzegł koloru jej oczu, był boleśnie otrzeźwiający. Nieważne, że do niedawna jej oczy skrywały szkła korekcyjne. Gdyby Josh chciał, dostrzegłby coś za nimi.

- Cóż za romantyczne określenie, Josh - odrzekła sarkastycznie. - Oczy jak szklanka wódki. Przewisko, które kojarzy się z aligatorami. Nic dziwnego, że kobiety padają ci do stóp. — Zdecydowanie zrobiła krok w przód, zmuszając Josha, by się odsunął. Oparty o framugę obserwował Toni, gdy stanęła na palcach i wsunęła teczkę w przegrodkę na półce.

- Więc jednak... jest jakiś facet? - Oczy Josha leciutko się zwęziły.

- Może tylko przechodzę kryzys wieku średniego. - Wepchnęła na miejsce drugą teczkę.

- Mając trzydzieści pięć lat? Oby nie.

- Mam trzydzieści trzy lata - parsknęła.

Boże, on nawet nie zna jej wieku!

- O rany, wybacz.

Jego uśmiech został wsparty dużą dawką osobistego czaru, zazwyczaj zarezerwowanego dla innych kobiet. Toni spróbowała go zignorować, ale nic z tego nie wyszło.

- Drobiazg - mruknęła. - Zresztą co znaczy rok lub dwa między przyjaciółmi? - Wsunęła kolejną teczkę i spojrzała

na tę, którą trzymała w ręce. - Nie powinieneś podyktować skierowania dla pani Willis? Zapisałam ją do pulmonologa.

- Zaraz to zrobię. - Josh sięgnął po teczkę.

- Nie ma pośpiechu. O tej porze roku lista oczekujących jest strasznie długa. Termin przypada dopiero za sześć tygodni.

- Do diabła. - Josh zmarszczył brwi. - Badanie trzeba wykonać wcześniej. Rozedma za szybko postępuje. Może pani Willis pójdzie na prywatną konsultację?

- Nie jest ubezpieczona i nie stać jej na takie wydatki. Jej mąż w zeszłym roku stracił pracę.

- Mimo to ją zapisz - polecił Josh. - Nasza poradnia pokryje koszty.

Toni uniosła brwi, lecz się nie odezwała. Nie musiała przypominać Joshowi o posiadaniu współnika. Oliver już za-uważył, że Josh coraz częściej przyjmuje za darmo pacjentów będących w trudnej sytuacji materialnej.

Nie chodziło o to, że Oliver był przeciwnikiem takiego podejścia - po prostu chciał ustalić pewne zasady. Pacjenci czasem porównywali dane ze swoich kart i zdarzało się, że ci, którzy mogli uiścić normalną opłatę, domagali się darmowej konsultacji. Stawiało to Olivera w kłopotliwym położeniu, a Toni musiała w recepcji odpierać ataki zdenerwowanych ludzi. Teraz jej milczenie zapewne przypomniało Joshowi, że ten temat został poruszony na niedawnym zebraniu personelu.

- Ja pokryję koszty - dodał jakby od niechcenia. - Nie musisz tego nigdzie księgować.

- Więc zobaczę, co da się zrobić. - Wyłączyła komputer, zgarnęła z blatu długopisy i ołówki i włożyła je do specjalnego kubka. - Na dzisiaj koniec. Idę do domu.

- Hm. - Josh nadal stał oparty o framugę. - A co do tego

twojego kryzysu wieku średniego... Chyba nie spowoduje zasadniczych zmian?

- Co masz na myśli? - Toni wyjęła spod biurka torebkę na długim pasku.

- Na przykład zmianę miejsca zamieszkania. Albo pracy.

- To mało prawdopodobne. Wyobraź sobie tę złodziejską wyprawę, na jaką wybraliby się Bertie i Bessie, gdybym zafundowała im dziewicze terytorium.

- Jeszcze z tego nie wyrosły? - Josh uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jesteś jedyną znaną mi osobą, która ma kocich przestępców.

- Koty birmańskie same ustanawiają dla siebie prawo.

W sobotę Bertie wrócił do domu z szesnastą skarpetką. - Toni parsknęła śmiechem. - I nadal nie mamy żadnej do pary.

- Więc nie możesz się wyprowadzić - stwierdził z powagą. - Bertie musi przecież dobrać te skarpetki. - Odsunął się, aby Toni mogła wyjść do holu. - A co z pracą?

- Mebel sam się nie przenosi - oświadczyła z emfazą.

- Trzeba go przenieść. Ale czasem zdąży zmienić się w cenny antyk - dorzuciła przez ramię.

- Już dobrze, dobrze. - Josh pokręcił głową. - Rzeczywiście dodałem ci dwa latka, ale nie musisz od razu dawać mi prztyczka w nos. Jestem tylko trochę rozkojarzony, nic więcej. Za dużo tych wszystkich zmian. Oliver się żeni. Ty wyrzucasz okulary. Chyba coś wisi w powietrzu.

- Wiosna. Czas zmian.

Josh ze zrezygnowaną miną pokiwał głową i ciężko westchnął.

- Może zrobię w gabinecie wiosenne porządki.

- Świetny pomysł! - Toni pomaszerowała do wyjścia.

- Nawet sprzątaczką boi się sięgnąć ścierką w głąb twoich

archiwów. - Posłała Joshowi uśmiech. - Masz dziesięcioletnie zaległości.

Otworzyła drzwi na oścież i wzdrygnęła się na widok młodego mężczyzny z podniesioną pięścią.

- Przepraszam. - Mężczyzna opuścił rękę. - Ważnie zamierzałem zapukać. Wiem, że już po godzinach. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale miałem nadzieję, że jeszcze tu będziesz, Toni.

Josh patrzył podejrzliwie na przybysza - bardzo wysokiego, muskularnego blondyna z długimi włosami związanymi w kitkę. Najwyraźniej też go nie poznawał.

- Nie pamiętasz mnie. - Mężczyzna wciąż się uśmiechał. - Powiedziałem mamie, że tak będzie, kiedy mnie poinformowała o miejscu twojej pracy.

- Pańska mama? - Głos mężczyzny brzmiał znajomo. Toni w zamyśleniu przygryzła wargę.

- Ta osoba, która nie lubi babek z piasku, nawet tych udekorowanych dzikimi jabłuszkami.

- Ben! To niewiarygodne! Dlaczego twoja mama mnie nie uprzedziła, że wracasz?

- Nic nie wiedziała. Przyjechałem parę dni temu.

- Zachowałam tę pocztówkę, którą przysłałeś mi w zeszłym roku. Skąd to było? Z Boliwii? Czy z Chin? Nigdy nie mogę się połapać, gdzie jesteś.

- Chyba też bym cię nie rozpoznał. Masz krótsze włosy.

- A ty dłuższe.

- I już nie nosisz okularów.—Ben patrzył na nią uważnie. -Zrobiła się z ciebie niezła sztuka, Toni Bagien.

Zarumieniła się, słysząc ten komplement i jednocześnie przypomniała sobie o obecności Josha. Spojrzała na niego i stwierdziła, że malując się na jego twarzy podejrzliwość zastąpiła wyraźna dezaprobatą.

- Josh, to Ben Reynolds.

- Witam. - Josh skinął głową. - Rozumiem, że zna pan Toni.

- Jasne, że znam. Po pierwszej randce cały czas trzymaliśmy się za ręce, maszerując do domu.

Toni miała ochotę parsknąć śmiechem na widok miny Josha.

- To był nasz pierwszy dzień w szkole. - Dlaczego koniecznie musiała zapewnić Josha, że Ben to tylko stary przyjaciel? - Mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Zresztą, jego matka jest twoją pacjentką. Kojarzysz Janet Reynolds?

Na twarzy Josha nagle pojawił się wyraz czujnego zainteresowania. Toni zdumiała się tą raptowną zmianą.

- Sporo o panu słyszałem. - Josh wyciągnął dłoń. - Pani Reynolds od lat opowiada mi o pańskich niezwykłych przygodach podczas podróży po całym świecie.

Toni obserwowała obu mężczyzn, gdy ściskali sobie ręce. Niewątpliwie przypadli sobie do gustu. Niby czemu nie? Ben zawsze traktował życie podobnie jak Josh. Z tą różnicą, że żył na granicy ryzyka - jeszcze szybciej i bardziej niebezpiecznie, na ogół w różnych odległych, egzotycznych krajach.

- Zniknąłeś stąd na całe dziesięć lat. Wpadłeś na małe wakacje? - spytała zaciekawiona.

- Kto wie? - Ben wzruszył ramionami. - Może już się wyszalałem i jestem gotów się ustatkować?

Nie sprawiał wrażenia zachwyconego taką perspektywą. Może niektórzy mężczyźni muszą gnać przez życie, zachłannie smakując wszystkie jego uroki, i nigdy nie mogliby być szczęśliwi, gdyby dali się uziemić stabilizacji?

- Pogadajcie sobie, pospominajcie - zasugerował Josh.
- Zostawię was. Pewnie macie o czym rozmawiać.

- Na przykład o tej babce z piasku, do której spróbowania prawie namówiliśmy twoją mamę.

Ben nie odpowiedział i odwrócił się do Josha.

- Prawdę mówiąc liczyłem dziś na rozmowę z panem, doktorze Cooper. Mama sądzi, że po tych włóczęgach powinienem się porządnie przebadać, bo mieszkalem w tylu dziwnych miejscach.

- Znakomity pomysł. - Toni podeszła do biurka. - Wezmę rejestrator i zapiszę cię. Kiedy chcesz przyjść, Ben?

Spojrzała na obu mężczyzn, lecz oni chyba jej nie usłyszeli. Wyglądało na to, że porozumiewają się bez słów, ale na jaki temat? Toni nie miała zielonego pojęcia.

- Może załatwimy to od ręki, Ben? - cicho spytał Josh.

- Jest pan pewien? Nie chciałbym zatrzymywać pana po godzinach, doktorze.

- Drobiazg. Mam mnóstwo czasu. - Josh położył dłoń na ramieniu Bena i poprowadził go do swego gabinetu. - A poza tym jestem Josh. - Zerknął na Toni. - Nie musisz zostawać, *Mokradelko*. Wszystko pozamykam.

- *Mokradelko*? - powtórzył Ben i parsknął śmiechem. - Szkoda, że sam nie wpadłem na coś takiego - dodał. - Ja nazywałem ją mało oryginalnie: podwójne patrzalki.

Toni westchnęła. Znienawidzone przezwisko z dzieciństwa już nie powinno sprawiać przykrości, a jednak nadal raniło, choć Ben nigdy nie używał go złośliwie. Przyjaźnili się przez wiele lat, a ich drogi rozeszły się dopiero w średniej szkole. Ben był bardzo popularny wśród uczniów, nawet wtedy gdy popadł w tarapaty. To właśnie jego zawieszono na trzy dni za palenie papierosów. I to on został gwiazdą pierwszej szkolnej drużyny rugby. Jako zawodnik dosłownie szalał na boisku, nawet nie biorąc pod uwagę możliwości porażki. Zawsze wyznaczał sobie ambitne cele, po czym natychmiast je osiągał.

A co ona, Toni, osiągnęła w tym samym czasie? Wymieniła tylko jedno mało kuszące przezwisko na drugie - i niewiele więcej. Najwyższa pora, aby dokonać bardziej zasadniczych zmian. Wcale nie dlatego, że wiosna pobudza do działania. Po prostu lata lecą i zaczyna robić się późno. Trzeba wytyczyć sobie nową drogę, ustalić nowe cele. Może tym razem uda się je zrealizować...

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Czy postanowienia są zaraźliwe? Toni tak dobrze знаła Josha, że natychmiast zauważyła różne zmiany, nawet jego nastroju. Spostrzegła je także Janet Muir.

- Co się dzieje? - spytała zaciekawiona. - Josh wyrzucił z gabinetu tyle rupieci.

- Robi wiosenne porządki. - Toni przysunęła do ściany wielkie pudło pełne czasopism medycznych.

- Dlaczego?

- Dobre pytanie! - Toni westchnęła ciężko. Nietypowe zachowanie Josha dodatkowo wzmagało nerwową atmosferę i tak trudnego tygodnia. - Miejmy nadzieję, że szybko straci zapał. Wybrał najgorszy moment na przewracanie wszystkiego do góry nogami. Doktor Singh zapewne sądzi, że jest strasznie dezorganizowany.

- Może sprzątnięciem usiłuje wyrzucić wrażenie na naszym egzotycznym gościu? - przyciszonym tonem spytała Janet.

- To chyba nie zadziała - kwaśno stwierdziła Toni. - Pani doktor potknęła się wczoraj o wystawioną na korytarz pustą butlę tlenową i rozdarła sobie sari. Nie była tym zachwycona i dziś chyba unika Josha.

- Biedaczek. - Janet uśmiechnęła się wesoło. - Po czymś takim wpadnie w szok.

Josha niewątpliwie coś gryzło. Nie zabrał się za porządki tylko dlatego, że był sfrustrowany, bo Mareszka Singh grze-

cznie, lecz zdecydowanie odrzuciła jego awanse. I nie z tego powodu coraz częściej unikał załatwiania bieżących spraw lub całkiem o nich zapominał. Lista nie napisanych skierowań i opisów choroby coraz bardziej się wydłużała. Toni na czerwono podkreślała niektóre punkty, lecz to nie pomagało.

- Powinieneś wreszcie podpisać mi te czeki - oznajmiła stanowczo w piątek po południu. - A Janet czeka, aż raczysz sprawdzić zapotrzebowanie na leki.

- Zrobię to - parsknął zirytowany. - Nie popędzaj mnie.

- Ktoś musi. Nie mogę wszystkiego załatwić sama.

- Jakoś dajesz sobie radę. - Josh posłał jej olśniewający uśmiech. - Nikt inny nie wchodzi mi na głowę.

- Nie próbuj się wykręcić. - Czy on zawsze umie każdego rozbroić tym uśmiechem? - Obowiązki zaczynają mnie przerastać, Josh. Mówiłam ci, że trzeba zatrudnić recepcjonistkę. Wiesz, jak często zostają po godzinach, żeby uzupełnić dane? W ciągu dnia brak na to czasu.

- Wiem. - Zrobił skruszoną minę. - Pogadamy o tym w przyszłym tygodniu, po powrocie Olivera i Sophie. Nie martw się, *Mokradelko*. Jakoś sobie z tym poradzimy. Daj te czeki.

Parę minut później Josh nadal stał obok Toni, kończąc papierkową robotę, gdy zadzwonił telefon.

- Obawiam się, że ma na dziś komplet pacjentów - z żalem powiedziała Toni. - Może w poniedziałek? - Przez chwilę słuchała zatroskana. - Eee... Ben? Chyba nie piłeś, co? - spytała z wahaniem, a Josh dosłownie wyrwał jej słuchawkę.

- Ja z nim porozmawiam! Ben? Mówi Josh. - Zignorował zdumienie Toni. - W czym problem? Przyjdź.

- Nie możesz! - zaprotestowała Toni, ale on już przerwał połączenie. - I tak masz dziś za dużo pacjentów, więc...

- Urwała na widok wyrazu jego twarzy. - Po co ten pośpiech? Ben jest chory?

- Jak możesz prosić lekarza o złamanie tajemnicy zawodowej! - burknął Josh. - Przyjmę go i kropka. To powinno ci wystarczyć. - Przerzucił kartki zeszytu z zapisami. - Zanim przyjdzie, zbadam panią Grigg, a Jason Weir potrzebuje tylko nowej recepty. - Chwycił bloczek i zaczął ją wypisywać. - Niech Janet zmierzy mu ciśnienie i spyta o samopoczucie. Jeśli chce, żebym go zbadał, musi poczekać. Resztę załatwi Mareszka. - Ruszył w stronę gabinetu. - Pani Grigg? Proszę za mną.

Toni westchnęła zrezygnowana. Chyba może zapomnieć o podwieczorku, który zaplanowała na pożegnanie Mareszki. Pani doktor spędzi ostatnie godziny pracy w poradni bardziej pracowicie niż przez cały miniony tydzień.

To takie typowe dla Josha, pomyślała Toni. Liczą się tylko jego priorytety, a inni muszą się podporządkować...

Ben nie wyglądał na szczególnie chorego, lecz był przegaszony i jakby przygnębiony. Toni zagadnęła go o to i owo, lecz nie wykazał chęci do pogawędki, co boleśnie uświadomiło jej, że właściwie nie zna swego przyjaciela z dzieciństwa. Kto wie, jakie ma teraz problemy? Może jest narkomanem? Alkoholikiem? Albo ma AIDS? Przez telefon mówił bełkotliwie, a po przyjściu do poradni sprawiał wrażenie trochę wytrąconego z równowagi.

Normalnie wizyta trwa około piętnastu minut. Pacjenci z poważniejszymi kłopotami zdrowotnymi czasem spędzali w gabinecie pół godziny. Bardzo rzadko zdarzało się, że cały dzienny grafik stawał na głowie, gdy lekarz poświęcał komuś czterdzieści pięć minut. Lecz Ben siedzi u Josha już półtorej godziny! Janet poszła do domu, Mareszka też w końcu wyszła, bez słowa skargi przyjąwszy wszystkich dodatkowych pacjentów.

Gdy Ben wreszcie znów pojawił się w recepcji, miał jeszcze bardziej ponury wyraz twarzy niż dwie godziny temu. Josh był blady i obaj nie odezwali się do niej ani słowem. Wiedziała, jak bardzo Josh potrafi wczuć się w sytuację chorych i jak wiele serca im okazuje. Tym razem jednak miał tak dziwną minę, że poszła za nim do gabinetu. Otworzyła drzwi i wcale się nie zdziwiła, widząc Josha z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Co się dzieje, Josh? Co dolega Benowi?

Josh podniósł głowę i westchnął.

- Wiesz, że nie wolno mi powiedzieć.

- Na miłość boską, Josh! Przecież i tak mogę przeczytać w karcie, piszę wszystkie twoje skierowania. Znam Bena praktycznie od urodzenia. Gdy ponad dziesięć lat temu moja matka zachorowała, Janice Reynolds traktowała mnie jak córkę. Oboje są mi bliscy.

- Jak dobrze znałaś ojca Bena?

Zdziwiona tym pytaniem usiadła na niedawno zwolnionym przez Bena krześle. Nadal było ciepło.

- Zmarł mniej więcej wtedy, kiedy ujawniła się choroba mojej mamy. Wkrótce potem Ben wyjechał za granicę.

- Słyszałem o tym. - Josh skinął głową. - Orientowałaś się, co zabiło ojca Bena?

- To było okropne. - Toni przelknęła ślinę. - Miał płaswicę Huntingtona.

- Tak. Ile wiesz o tej chorobie? - W głosie Josha zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Całkiem dużo. - Jego ton trochę ją rozdrażnił. Czyżby Josh sądził, że ona z braku medycznego wykształcenia nie zrozumie problemów zdrowotnych Bena? - Płasawica Huntingtona to choroba dziedziczna - oznajmiła chłodno. - Jeśli ma ją jedno z rodziców, ryzyko zachorowania u dziecka wy-

nosi pięćdziesiąt procent. Zazwyczaj daje o sobie znać między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Przeciętny wiek, kiedy pojawiają się jej objawy, to trzydzieści osiem lat. - Toni odgarnęła z czoła kosmyk włosów. - Jim Reynolds właśnie skończył trzydzieści dziewięć, gdy symptomy już nie budziły wątpliwości. Ben miał wtedy tylko siedem lat. Byłam tam, gdy to się stało.

- Jak to byłaś tam? - Josh zmarszczył brwi. - Ta choroba nie atakuje nagle. Przeciwnie, najpierw rozwija się przez...

- Jakies dziesięć lat - gniewnie przerwała mu Toni. - Wiem o tym, Josh. W ciągu dziesięciu lat chory ma coraz większe trudności z chodzeniem, mówieniem, przelatykaniem, nawet z myśleniem. A sama diagnoza to wyrok śmierci, który dręczy, zanim ona nastąpi. Nie ma żadnej skutecznej terapii ani metody leczenia. Chory jest jakby zamknięty w ciele, które powoli zamiera i go dusi. Nie wiadomo, ile świadomości zachowuje ktoś mający Huntingtona.

- Rzeczywiście wiesz na ten temat więcej, niż przypuszczałem. - Wpatrywał się w nią uważnie. - Ale co chciałaś powiedzieć, mówiąc, że byłaś tam, gdy to się stało?

- W sobotnie popołudnie budowaliśmy z Benem szalną na tyłach ich ogrodu. Potrzebowaliśmy młotka i gwoździ, więc poszliśmy do szopy. Zobaczyliśmy, że ojciec Bena usiłuje wziąć wiertło. Palce tak bardzo mu drżały, że nie był w stanie wyjąć go z pudełka. Strasznie się wtedy rozłościł. Cisnął tym pudłem o ścianę i to samo zrobił z wiertarką.

Toni zerknęła na Josha, aby sprawdzić, czy go nie nudzi, wdając się w Szczegóły. Ale on uniesieniem brwi zachęcił ją do mówienia.

- Ben i ja naprawdę się przestraszyliśmy. Jim nigdy nie wpadał w taki gniew. A co gorsza, na nasz widok się rozplakał. Pierwszy raz zobaczyłam płaczącego mężczyznę. - Toni

odwróciła wzrok. - Do końca życia będę pamiętać tamto popołudnie.

- Ben także.

- Nic dziwnego, że nadal go to dręczy. Był wtedy zupełnie zdruzgotany. Gdy postawiono diagnozę, początkowo nie chciał uwierzyć, że choroba jest nieuleczalna. Postanowił zostać lekarzem, kiedy dorośnie. Zamierzał wynaleźć lekarstwo na Huntingtona.

Josh uśmiechnął się niemal z rozczuleniem, nie spuszcza-
jąc oczu z twarzy Toni.

- To musiał być trudny okres dla Bena i jego matki - za-
uważył.

- Okropny - przyznała cicho. - Jim Reynolds zaczął mieć
trudności z przelknięciem i często się dławił. Podczas kolacji,
na której byłem u nich z mamą, zwymiotował na stół. Od tego
czasu chyba już nikogo nie zapraszali. Wkrótce potem Jim już
zataczał się przy chodzeniu. Wyglądał jak pijany. Kiedyś
zgarnęli go z ulicy policjanci i zawieźli do izby wytrzeźwień.
Nie uwierzyli Benowi, który im tłumaczył, że ojciec jest cho-
ry. Ben miał wtedy czternaście lat. Wkurzył się na ojca i za-
bronił mi przychodzić do ich domu.

- Dlaczego?

- Chyba się wstydził. Jego tata już nie mógł pracować ani
nawet pomóc matce. Nie pamiętał, w której szufladzie są jego
skarpetki, nie umiał trafić do łazienki, podczas rozmowy tracił
wątek i zapominał, co przed chwilą mówił. Ale Janice oddała
go do domu opieki dopiero wtedy, gdy już nie dawała sobie
rady. Zdecydowała się na to, gdy Ben wyjechał na studia.

- Ben dużo o tym rozmawiał?

- Nie ze mną. - Toni pokręciła głową. - Po tamtym nie-
fortunnym aresztowaniu długo się do mnie nie odzywał. Wie-
działam za dużo, a on nie chciał, żebym rozpałała to

w szkole. Później Janice mi mówiła, że był w rozterce, bo nie mógł się zdecydować na badanie krwi. To mnie zdumiało. Wyobraź sobie, jak trudno jest człowiekowi żyć z myślą, że może czeka go taki straszny los. Tragedia, prawda?

- Owszem - ponuro stwierdził Josh.

- Janice też potwornie się bała. Dzięki Bogu wynik okazał się negatywny. Ben nie odziedziczył tego genu po ojcu. -

Uśmiechnęła się blado do Josha, lecz on się nie rozchmurzył.

- Ben nie poddał się badaniu, Toni.

- Ależ tak. Sam mi powiedział o wyniku. A Janice wreszcie odetchnęła. Nie miała pojęcia, jak żyłaby z niepewnością, gdyby Ben nie wykonał testu.

- Może właśnie dlatego was okłamał.

- Co ty pleciesz. - Przygryzła wargi, nagle uświadamiając sobie sens słów Josha. - Czemu miałyby to zrobić?

- Nie chciał wiedzieć, czy czeka go los ojca. Wolał żyć, łudząc się nadzieją, że wszystko będzie dobrze, niż każdego dnia myśleć o najgorszym. Według niego to w ogóle nie byłoby życie.

- Ale chodził, czasem nawet z matką, na te wszystkie sesje terapeutyczne.

- Zrezygnował z tego przed ostatecznym badaniem. Miał wtedy dwadzieścia lat, Toni. Doszedł do wniosku, że jeśli ma przed sobą drugie tyle, to wykorzysta te lata do maksimum, jednocześnie wierząc, że nie zachoruje. Postanowił się zabić, gdyby pojawiły się objawy choroby.

- Nie popełniłby samobójstwa!

- Czemu? - Josh wzruszył ramionami. - Uważasz to za coś straszniejszego niż choroba, która zabija powoli i okrutnie?

- Chyba nie — przyznała niechętnie. - Jeśli ma się pewność.

- Ben sądzi, że ją ma.
- O Boże! - Przymknęła powieki. - Dlatego wrócił do domu?

- Prawdopodobnie. Jest przerażony.
- Zdecyduje się na badanie?
- Rozmawiamy o tym. Objawy mogą być skutkiem innych rzeczy.

- Jakie objawy? Zaburzenia mowy? Dlatego pomyślałam, że jest pijany, kiedy zadzwonił?

Josh skinął głową.

- Czasem ma kłopoty z łykaniem. Traci równowagę.
- Co innego może spowodować takie symptomy?
- Choroba Parkinsona. Alkoholizm. Nawet infekcja wirusowa.

- Ale nie bardzo wierzysz, że tak jest w przypadku Bena?

- Niestety nie.

- Biedny Ben. - Przycisnęła palce do skroni. - I biedna Janice. - Zaskoczyły ją łzy, które nagle popłynęły jej po policzkach. Nie była też przygotowana na delikatny dotyk dłoni Josha, który ją podniósł i wziął w ramiona.

- Przykro mi, Toni. To bywa trudne dla każdej bliskiej nam osoby.

Oparł jej głowę o bark, a Toni pozwoliła sobie na moment słabości. Uścisk Josha działał tak kojąco... W tej chwili nie chciały być nigdzie indziej. Najchętniej zostałyby w jego objęciach na zawsze.

- Wybacz - odsunęła się nieco - ale ta wiadomość zwała mnie z nóg. Co prawda nie widzieliśmy się od lat, ale myślałam, że Ben i Janice już nie muszą się bać...

- Rozumiem cię. - Josh odgarnął jej włosy z twarzy.

- Może Ben aż tak się nie rozchoruje jak jego ojciec.

A może to wcale nie jest początek Huntingtona? Płasawica

ujawnia się na ogół przed czterdziestką, a Ben jest sporo młodszy. Janice wie?

- Jeszcze nie. - Josh się cofnął. - Nie marzę o tym spotkaniu. Ben nie chce, żeby już się dowiedziała. W ogóle nie chciał nikomu nic mówić. Przyszedł do mnie, bo był zrozpaczony.

- Rzeczywiście wybrał odpowiedniego lekarza. - Uśmiechnęła się ciepło, ale Josh spojrzał na nią jakoś dziwnie.

- Czemu tak sądzisz? - zapytał ostro.

- Bo masz serce dla pacjentów. Potrafisz się wczuć w ich cierpienie. Wiesz, co czeka Janice.

- O, tak. - Odwrócił się, a Toni wyczuła, że oddała się nie tylko w sensie fizycznym. - Aż za dobrze. - Gniewnym ruchem zamknął leżący na biurku notatnik. - Chociaż wątpię, czy moje zrozumienie cokolwiek zmieni. Dla kogokolwiek.

- Oczywiście, że tak - zapewniła z przekonaniem. - Już zmieniło - dodała ciszej, ruszając do drzwi. - Dla mnie.

Wiosenne porządki niewątpliwie działały jak terapia. Toni przez cały weekend atakowała w domu kolejno wszystkie półki i szafy. Od lat nie sprzątała tak zawzięcie i dokładnie. Usiłowała wierzyć, że szaleje, ponieważ martwi się przyszłością Bena i jego matki. Ale w cichości ducha musiała przyznać, że przy okazji próbuje zneutralizować swoją frustrację spowodowaną pracą i uczuciem do Josha. Niezależnie jednak od przyczyn sprzątania, jego skutki okazały się imponujące. Postanowiła nawet wyrzucić pudło ze złodziejskimi łupami swoich kotów. Bertie i Bessie niezbyt przejęły się kazaniem, które im palnęła, przeglądając zawartość kartonu.

- To się musi skończyć - oświadczyła stanowczo. - Chyba spaliłabym się ze wstydu, gdyby sąsiedzi dowiedzieli się

o waszych wyczynach. - Wrzuciła do pudła podniszczoną tenisówkę i spod stosu skarpetek wyjęła spodnie od dresu. - Co cię naszło, żeby przywlec coś takiego, Bertie? A może to była wasza praca zespołowa?

Koty spokojnie czyściły ciemnobrązową sierść, ignorując swoją panią. Dobrze wiedziały, że wieczorem z przyjemnością weźmie je na kolana. Ale tym razem spotkało je rozczarowanie. Toni była tak zmęczona, że padła na łóżko i usnęła.

W poniedziałkowy rano cały dom lśnił, a ona odzyskała trochę wewnętrznego spokoju. Była gotowa rozpocząć nową fazę życia, gotowa powitać wracających z miodowego tygodnia Sophie i Olivera oraz odpowiednio wesprzeć Janice Reynolds, która wkrótce może tego potrzebować.

W poradni panował ruch, ponieważ wielu pacjentów zrezygnowało z wizyty u doktor Singh, wołąc poczekać na powrót Olivera. Z samego rana Janet telefonicznie zapisała się do Josha. Toni dwoiła się i troiła, rejestrując kolejnych pacjentów, ale nadmiar pracy rekompensowało zadowolenie z faktu, że zespół znów jest w komplecie. Było też przyjemnie posłuchać relacji ze wspaniałego urlopu, o którym Oliver i Sophie opowiadali z zachwytem.

- Rudyard Kipling kiedyś nazwał Milford Sound ósmym cudem świata - oznajmiła Sophie, gawędząc nieco później z Toni i Janet. - Miał rację, bo to niewiarygodnie piękne miejsce. Wszędzie góry, lasy, jeziora. Podczas rejsu straciłam rachubę widzianych po drodze wodospadów. Napatrzyłam się też na baraszkuje delfiny. - Sophie uśmiechnęła się radośnie na wspomnienie tamtej sceny. - Oliver omal nie wypadł za burzę, robiąc zdjęcia.

- Jaka była pogoda? Padało? - spytała Janet.

- Strasznie - przyznała Sophie. - Ale to jeden z uroków Fiordlandu. Im więcej deszczu, tym więcej wodospadów.

Mimo to wybraliśmy się na kilka pieszych wycieczek. Po-
szliśmy aż do jeziora Marian i zaliczyliśmy kawałek szlaku
Hollyford.

- A znacie szlak Milford? Chciałabym zabrać tam chłop-
ców, kiedy trochę podrosną.

- O tej porze roku Milford jest zamknięty. - Sophie zaj-
rzała do koszyka z kartą pacjenta, ale jej nie wzięła. - Zapisa-
liśmy

się na lato - oświadczyła z uśmiechem. - Za sześć miesięcy
akurat będziemy gotowi do drugiej podróży poślubnej.

- Z takiej okazji wołałabym coś bardziej romantycznego
- stwierdziła Toni. - Na przykład pobyt w tropikach. Chętnie
powylegiwała bym się na złocistej plaży, pod palmą.

- Spróbuj po całodniowej wędrówce w deszczu powyle-
giwać się w jacuzzi pod gwiazdami. - Sophie zerknęła na
wchodzącego Olivera i się zarumieniła. - To coś niesamowi-
tego - mruknęła.

- Co jest niesamowite? - spytał jej mąż.

- Liczba pacjentów na dzisiaj. - Toni wręczyła im karty
choroby. - Miesiąc miodowy już się skończył, kochani.

- Skądże - zaprotestował Oliver, puszczając przodem
Sophie. - Nasz miesiąc miodowy będzie trwać wiecznie. Tyl-
ko urlop się skończył.

Pod koniec dyżuru państwo Spencer nie mieli co do tego
wątpliwości i już zaczęli wdychać, że potrzebują wolnego.

- Nie ma szans - oświadczyła Toni. - Przykro mi. Josh
wspomniał wam o zebraniu jutro o ósmej rano?

Oboje skinęli głowami i wymienili wymowne spojrzenia.

- Czy z Joshem coś nie tak? - spytał Oliver.

- Co masz na myśli? - Toni zauważyła, że jest autentycz-
nie zatroskana.

- Wygląda okropnie. Kiedy zobaczyłem go dziś, trochę
się przeraziłem. Na pewno schudł i jest strasznie błydy.

- Też tak myślę. - Sophie energicznie skinęła głową. -
I prawie się nie odzywa.

Toni patrzyła na nich w milczeniu. Josh rzeczywiście był przygaszony, sądziła jednak, że martwi się sytuacją Reynold-sów. Ale żeby nie okazał radości z powodu powrotu przyjaciół? To do niego całkiem niepodobne.

- Próbowaliście go wy badać?

- Znasz Josha. - Oliver zaśmiał się niewesoło.

- Owszem. - Toni usiłowała zdusić przyływ niepokoju.
- Na pytania o zdrowie reaguje jak na osobiste zniewagi.

- Jego gabinet wygląda jak po wybuchu bomby. - Oliver pokręcił głową. - Wszędzie walają się jakieś pudła, a w szafce na bojler znalazłem pustą butlę tlenową.

- Po jednym dniu porządków Josh stracił zapal.

- Dziwne, że w ogóle wziął się za sprzątanie - stwierdził Oliver.

- Może ma kłopoty sercowe - zasugerowała Sophie. -
Podobno ta zastępczyni była ślicznotką. - Szturchnęła męża łokciem w bok, - Może nie jest zachwycony, że już wrócili-śmy.

- Też coś! - prychnęła Toni. - Zjem swój kapelusz, jeśli jakaś kobieta zdoła zakłócić spokój Josha. Pewnie jego tryb życia w końcu dał mu się we znaki. Po weekendowej balandze Josh zawsze jest półżywy.

Skrzypnięcie zamykanych drzwi przerwało ploteczki, a trójka winowajców zerknęła po sobie, gdy Josh wszedł do recepcji.

- Uszy mnie pieką - mruknął. - Mam nadzieję, że mówicie o mnie same miłe rzeczy.

- Martwimy się o ciebie - oświadczyła Sophie, ignorując ostrzegawcze spojrzenie męża. - Wyglądasz marnie - dodała buntowniczym tonem, najwyraźniej gotowa do starcia.

- Marnie? Chyba zbierałaś szóstki na zajęciach z terminologii medycznej. Zaraz pewnie przepiszesz mi leczniczy tonik.

- Raczej tran - odparła groźnie. - Pięć razy na dzień.

- Dobrze działa też olej rycynowy - odpowiedziała Toni i odetchnęła z ulgą, gdy Josh z humorem przyjął ich zatroskanie. - Albo przynajmniej syrop figowy. Podczas wczorajszych porządków znalazłam pełną butelkę. Pewnie mama wstawiła go do szafki jakieś ćwierć wieku temu.

- Co za rocznik! W sam raz na twój gust, chłopie. - Oliver klepnął Josha w plecy, chyba już mniej przejęty jego stanem zdrowia. - Dobrze się wyśpij - poradził. - Mnie też się to przyda po tym dzisiejszym młynie. Chodź, Sophie. Pora wracać do domku.

- Marzysz tylko o spaniu? - Sophie poszła za mężem do poczekalni. - Mówisz jak facet żonaty od dwudziestu lat.

Josh i Toni nie usłyszeli odpowiedzi wyszeptanej do ucha Sophie, ale wychodząc z poradni nowożeńcy wesoło się roześmiali. Atmosfera w recepcji natychmiast uległa zmianie.

- Jak miewa się Janice? - ostrożnie spytała Toni, gdy Josh szykował się do wyjścia.

- Dobrze, chociaż nadwreżyła sobie nadgarstek, pracując w ogródku. Trochę niepokoi się o Bena, ale sądzi, że jego ponury nastrój bierze się z nudów. Prędzej czy później pozna prawdę. To tylko kwestia czasu.

- Muszę do niej zajrzeć. Od dawna nie ucięłyśmy sobie porządnej pogawędki, przydałyby mi się też nowe sadzonki.

- Tylko uważaj, co mówisz - ostrzegł Josh.

- Nie zamierzam bezmyślnie paplać. - Odwróciła wzrok i westchnęła. - Chciałabym jakoś pomóc Janice. Zawsze była dla mnie taka dobra. Bardzo ją lubię. I martwię się o nią.

- Często martwisz się o ludzi. - Uśmiechnął się. - Między innymi dlatego jesteś wyjątkowa. Dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Na widok malującego się w spojrzeniu Josha przejęcia poczuła, że dławi ją w gardle. Rozpaczliwie pragnęła, aby troska Josha wynikała z czegoś więcej niż tylko z przyjaźni. Ale to było niemożliwe.

- Nic mi nie jest, Josh. A tobie?

Patrzyli na siebie wystarczająco długo, by połączyło ich porozumienie, którego nie sposób wyrazić słowami. Toni zatoneła spojrzeniem w oczach Josha i odniosła wrażenie, że ich dusze nagle się spotkały. Siła tego odczucia była potężniejsza niż jakiegokolwiek doznanie fizyczne, lecz gdy Josh odwrócił wzrok, Toni przeszył zdumiewająco fizyczny ból.

- Ze mną też wszystko w porządku - lekkim tonem zapewnił Josh. - O mnie nie musisz się martwić.

A więc nie życzył sobie jej troskliwości. Ani tego nadzwyczajnego porozumienia. Po jego wyjściu Toni przez kilka minut siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Czyżby tylko sobie wyobraziła ten krok, który zbliżył ich do siebie? Czyżby się pomyliła, rozpoznając coś bardziej wzniosłego niż przyjaźń? Nie. To naprawdę się pojawiło. I było wystarczająco wyraźne, aby i Josh coś zauważył. Takie wyraźne, że w popłochu uciekł. Jasno, jak nigdy dotąd, dał do zrozumienia, że nie interesują go jej uczucia. Ale sam też coś poczuł. Może więc bał się do tego przyznać? Albo postanowił nie dopuścić, żeby coś z tego wyszło?

Wracała do domu rozstrojona. Coś zbyt długo gotującego się na wolnym ogniu wkrótce się wygotuje. Lub wybuchnie. Jedno jest pewne - status quo właśnie odeszło w przeszłość.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co Josh tam robi? - spytał nazajutrz rano Oliver Spencer, patrząc z okna pokoju dla personelu na parking. - Stoi i gapi się na swój samochód.

- Pewnie się zastanawia, czy go nie sprzedać. Przecież jeździ nim już co najmniej dwa miesiące - z przekąsem mruknęła Toni. - Na rynku z pewnością są nowsze, bardziej seksowne modele. Jedna z tych kaw jest dla mnie?

- Oczywiście. - Oliver podał jej pełny kubek. - A ta jest twoja, kochanie. - Rozpromienił się na widok wchodzącej żony i cmoknął ją w usta, gdy do niego podeszła.

Toni poczuła się jak piąte koło u wozu. Pośpiesznie odwróciła wzrok i usiadła przy stoliku.

- Gdzie Janet? - Sophie usadowiła się na krześle obok Toni.

- Spóźni się. Musi wyprawić chłopców do szkoły i nie jest w stanie zdążyć tu na ósmą. Pytała mnie, czy nie można by robić zebrań o innej porze. To jeden z tematów, który chciałam poruszyć.

- Dawniej zaczynaliśmy o ósmej trzydzieści i nie starczało nam czasu na omówienie wszystkich spraw - przypomniał Oliver. Postawił kubek kawy na końcu stołu, gdzie zazwyczaj siadał Josh, i sam zajął miejsce naprzeciw żony.

- Nie uwierzycie, co właśnie zrobiłem. - Josh wszedł do pokoju, kręcąc głową, i z zadowoleniem sięgnął po kubek. - Pycha. I po co komu śniadanie?

- Tobie by się przydało. Nikniesz w oczach - oświadczył Oliver i w nagrodę usłyszał pogardliwe prychnięcie.

- Co takiego zrobiłeś? - spytała Sophie.

- Zamknąłem kluczyki w samochodzie.

Oliver parsknął śmiechem.

- Jakim cudem? Ta twoja fura nic nie sygnalizuje, kiedy wysiadasz i zostawiasz kluczyki w stacyjce?

- Sam już nie wiem. - Josh był wyraźnie zakłopotany.

- Może coś nie zadziało. No i mam problem.

- Zaczyna się od kłopotów z pamięcią - śmiertelnie poważnie oświadczyła Sophie. - To pierwszy objaw.

- Czego? - Jakaś nuta w głosie Josha sprawiła, że wszyscy poczuli się nieswojo. I natychmiast przypomnieli sobie ryzykowny żart, na który Sophie pozwoliła sobie wczoraj. Też dotyczył zdrowia Josha.

- Eee... Niedożywienia, kiedy ktoś nie je śniadań? -

Sophie spojrzała na Olivera, ale on i Toni właśnie patrzyli na siebie znacząco. Nie umknęło to uwagi Josha.

- Może już zacniemy, dobrze? - zasugerował chłodno.

- Toni, po zebraniu wezwij pomoc drogową, żeby ktoś fachowo otworzył samochód. Moja legitymacja jest w portfelu.

Toni zapisała polecenie w notatniku.

- Spróbuję znaleźć na to czas - mruknęła, a Josh zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

- Postaraj się. Później pewnie będę miał kilka wizyt domowych i nie zamierzam czekać na taksówki. Jaka jest pierwsza sprawa do omówienia?

- Zatrudnienie recepcjonistki - oświadczyła Toni.

- Chyba od nas nie odchodzisz, co? - Oliver zrobił przeżoną minę.

- Nie, choć może to byłoby najlepsze rozwiązanie.

Toni nie wierzyła własnym uszom. Naprawdę powiedziała

to na głos? Przecież wcale nie brała pod uwagę zmiany miejsca pracy. A na twarzy Josha odmalowała się cała gama uczuć - zaskoczenie lub wręcz przestrasz, a potem jakby ulga i wreszcie wystudiowana obojętność.

- Co próbujesz nam powiedzieć, Toni?

- Tylko tyle, że ta robota wessała mnie jak bagno.

Dopiero zbiorowy śmiech uświadomił jej, że użyte słowo idealnie pasuje do jej nazwiska. Dotychczasowe napięcie nagle wyparowało.

- Zdajecie sobie sprawę z tego, że przyjmujemy ponad dwa tysiące rodzin, a liczba pacjentów, którzy nie są u nas zarejestrowani, wciąż rośnie? - Toni powiodła wzrokiem po twarzach kolegów. - Potrzebuję recepcjonistki przynajmniej na pół etatu, bo w przeciwnym razie się wykończę.

- Zaczynj kogoś szukać - polecił Josh. - Zgadzasz się, Oliver?

- Oczywiście. Nie możemy zamęczyć Toni. Już widzę ten chaos, który by powstał, gdyby ona nas zostawiła.

- Właśnie - burknął Josh, wyraźnie zniecierpliwiony. - Jaki jest kolejny punkt, Toni?

Janet Muir przyszła o ósmej czterdzieści, gdy zebranie dobiegało końca.

- Przepraszam za spóźnienie. Co mnie ominęło?

- Najważniejsze dopiero będzie. - Oliver wyjął z teczki dużą kopertę. - Ślubne zdjęcia!

Wszyscy zaczęli je oglądać. Toni i Janet z zachwytem komentowały każde ujęcie, natomiast Josh milczał. Uważnie przyjrzał się jednej fotografii i odłożył ją na stół. Toni powędrowała spojrzeniem za ręką Josha i przysunęła zdjęcie bliżej. Przedstawiało ją i Josha. Patrzyli na siebie - on łagodnie się uśmiechał, ona miała rozchylone usta i niemal błagała minę. Dobrze pamiętała moment, w którym fotograf ich

uwiecznił. Josh właśnie wyznał, jak bardzo przeraża go myśl, że mógłby to być jego ślub. Ona zaś zastanawiała się, czy Josh trochę nie udaje. Ale na zdjęciu wyglądało to zupełnie inaczej.- oboje sprawiali wrażenie zakochanej pary, która świata poza sobą nie widzi.

- Śliczna, prawda? - Sophie postukała palcem fotografie w rękę Toni. - Powinnaś przyczepić ją do tablicy ogłoszeń. Tworzycie z Joshem idealną parę.

Toni zauważyła, że Josh pośpiesznie ich przeprosił i wyszedł.

- Wolę dostać tę z tobą i Oliverem - odparła cicho. - To wy jesteście parą idealną.

O dziesiątej przyjechał wezwany specjalista i otworzył auto Josha.

- Lepiej niech pan trzyma zapasowe kluczyki w biurze - poradził Joshowi. - Tak na wszelki wypadek.

- Dobry pomysł - przyznał Josh. - Dam je naszej Toni. Ona się mną opiekuje. - Uśmiech, który jej posłał, wyrażał szczere uznanie. Dawniej z tego powodu Toni byłoby ciepło na sercu przez kilka kolejnych dni, ale nie dziś.

- Masz wolną chwilę, Josh?

- Dla ciebie, *Mokradelko*? Zawsze. - Josh oparł się o framugę drzwi do recepcji.

- Mam na linii farmaceutkę z apteki Cashmere. Kwestionuje receptę, którą dzisiaj wypisałeś pani Bell. Rzeczywiście ma przyjmować po sto miligramów cztery razy dziennie?

- Co takiego? - Josh zmarszczył brwi. - Nie pleć głupstw. Ma brać sto miligramów dziennie w dawkach podzielonych: cztery razy po dwadzieścia pięć miligramów.

- Napisałeś coś innego.

- Bzdura. Może aptekarka potrzebuje okularów. Pamiętam tę cholerną receptę.

- Właśnie ją nam przefaksowali. - Toni podała mu kartkę.

Josh popatrzył na nią zaszepiony, a Toni poważnie się zaniepokoiła. Łatwo jest popełnić taki błąd, lecz może on mieć niebezpieczne konsekwencje. Całe szczęście, że farmaceutka go zauważyła. Josh nigdy tak się nie mylił i jak na lekarza pisał bardzo wyraźnie, więc nie było problemów z odczytaniem jego recept. Toni patrzyła na niego, spodziewając się jakiejś uwagi. Wzdrygnęła się, gdy przedarł wydruk i wrzucił papierki do kosza.

- Zaraz wypiszę drugą - warknął. - Przefaksuj ją.

W milczeniu odprowadziła go spojrzeniem, po czym odsłoniła mikrofon słuchawki.

- Przepraszam, że tak długo to trwało - powiedziała miłym głosem. - Miała pani rację. Doktor Cooper właśnie wypisuje nową receptę.

Wysłała ją faksem parę minut później. Josh nie powiedział ani słowa, tylko rzucił receptę na blat i wziął kartę pacjentki, którą zaraz poprosił do gabinetu. Po jej wyjściu nadal nie odzywał się do Toni. Sięgnął do koszyka po zgłoszenie wizyty domowej i szybko przebiegł je wzrokiem.

- Do Boba Grangera - mruknął, pokazując notatkę Oliverowi. - Na kilka dni poszedł do hospicjum, żeby Diane trochę odsapnęła. Wczoraj wrócił do domu i chyba znów źle się czuje, choć ustawili mu dawkę morfiny.

- Niedobrze. - Oliver westchnął. - Sam namówiłem Diane, żeby zgodziła się na krótki pobyt męża w hospicjum, bo była wykończona. Opiekuje się Bobem od dawna i nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa. Tym razem pewnie już nie będzie chciała nawet słyszeć o hospicjum.

- Pogadam z nią - obiecał Josh. - Nie wini siebie za to, co się stało. Ja też zasugerowałbym pobyt w hospicjum.

Obaj lekarze wyraźnie się zasepili, a Toni żałowała, że nie może pomóc Joshowi. Nic dziwnego, że ostatnio jest roztrągniony. Zawsze angażował się emocjonalnie, gdy chodziło o ciężko chorych pacjentów. Takich jak Bob Granger. I Ben. W trudnych chwilach wspiera każdego, kto tego potrzebuje, i robi to lepiej niż jakikolwiek inny znany Toni człowiek.

Jej także pomagał, i to wielokrotnie, gdy opiekowała się chorą matką. Zgodził się na różne godziny pracy, nigdy nie narzekał, gdy z powodu jakiejś kryzysowej sytuacji nie mogła przyjść do poradni. W tamtych czasach pracowali tylko we dwoje. Tworzyli rzeczywiście zgrany duet.

To właśnie Josh rozpoznał udar u jej matki. Ten dodatkowy problem zdrowotny znacznie ograniczył jej sprawność fizyczną i przyspieszył demencję będącą skutkiem choroby Alzheimerera. Josh ze zrozumieniem przyjął decyzję Toni, która postanowiła odejść z pracy i zająć się matką. Później widywali się dość często, ponieważ wzięła na siebie opiekę medyczną, którą trudno było zapewnić osobie przebywającej w domu. Toni nie przypuszczała, że obowiązki okażą się takie poważne, a dramat potrwa tak długo. Dlatego była sfrustrowana i nieszczęśliwa.

Josh w końcu zdołał ją przekonać, że powinna oddać matkę do przyszpitalnego domu opieki. Zaproponował też pełny etat w St. David's. Zamierzał przyjąć Olivera na współnika i potrzebował kogoś więcej niż tylko recepcjonistki.

- Chcę zatrudnić osobę zaufaną - przekonywał. - Taką, z którą na pewno będzie dobrze się pracować. Zostaniesz szefową administracji, Toni. Zgódź się, proszę.

Jak mogłaby odrzucić tę ofertę? Dla Josha zrobiłaby wszystko. Chętnie wróciła więc do poradni, usiłując zwalczyć poczucie winy z powodu oddania matki do zakładu, odwiedzając ją codziennie wieczorem. Gdy matka zmarła, Toni

wyplakała się na ramieniu Josha. Była wręcz zażenowana ogromem swojej rozpacz.

- Przecież od tego wylewu mama nawet mnie nie poznała -jęczała pochlipując, a Josh tulił ją do siebie. -I było wiadomo, czego się spodziewać.

- Utrata któregoś z rodziców zawsze boli, nawet jeśli człowiek się jej spodziewa lub wręcz wyczekuje. A jeśli nie masz z bliską osobą dość dobrego kontaktu, cierpienie jest później jeszcze bardziej dojmujące.

Toni kiwnęła głową.

- Wszystko się w tobie burzy, prawda? - spytał łagodnie.

- Gniew, ponieważ ktoś bliski cię zostawił. I poczucie winy, bo sobie wyrzucasz, że mogłaś go bardziej kochać i lepiej się troszczyć.

- Mówisz jak człowiek, który przeżył coś takiego, Josh.

- Toni była wzruszona jego zdolnością empatii. Niewiele wiedziała o życiu osobistym Josha. Kilkakrotnie próbowała zbliżyć się do niego, zadając pytania, lecz on wtedy zasłaniał się tłumaczeniem, że patrzy na ból przez pryzmat cierpień swoich pacjentów.

Teraz podobnie wczuwał się w sytuację Diane Granger. Może po prostu takie powinno być podejście lekarza z prawdziwego zdarzenia? Czy pacjenci tak kochają Josha, bo wierzą, że jego troska może zmienić się w bardziej osobiste uczucie? A może tylko ona wpadła w tę pułapkę uczuć, bo zna Josha od tak dawna?

Nigdy nie była w stanie zrewanżować się Joshowi za wsparcie, robiąc dla niego coś na gruncie prywatnym. Dlatego w pracy uczyniłaby wszystko, co w jej mocy, aby choć trochę ułatwić mu życie. Może gdyby aż tak bardzo nie starała się mu pomagać, dostrzegłby w niej kogoś więcej niż tylko życzliwą koleżankę? Przestałby oczekiwać, że ona za-

wsze rozwiąże za niego przyziemne problemy, których tak nie znośił? Że zawsze będzie jej na nim zależeć, chociaż on nie odwzajemnia jej ciepłych uczuć?

Dzisiejszego popołudnia gryzła się nie tylko z powodu irytujących drobiazków. Bardziej frustrowała ją świadomość, że zawsze tak łatwo wybacza Joshowi różne potknięcia i natychmiast znów go uwielbia. A przecież tyle razy sobie obiecywała, że już nigdy nie posłucha podszeptów swego miękkiego serca, po czym znów emocje brały górę.

Bezskutecznie usiłowała zwalczyć irytację. Gdy Oliver przed wyjściem położył na blacie notatki do wpisania w karty, poczuła przyływ urazy do Josha. Jego zapiski na pewno będą wały się po całym gabinecie. Jeśli ona ich nie zbierze, to jutro lub pojutrze będzie w pośpiechu ich szukać.

Kropłą przepelniającą czarę okazało się zapomniane przez Josha pudło z czasopismami. Zawadziła o nie nogą i zakłęła. On pewnie sądził, że skończy za niego sprzątanie! Co gorsza, prawdopodobnie zrobiłaby to z przyjemnością, gdyby tylko poprosił. Jestem żalosna, pomyślała, maszerując do jego gabinetu. Gniewnie zapukała i weszła. Josh siedział przy komputerze, a na ekranie było widać kolorowego ludzika, którego goniły paskudne stwory.

- O nie! Znów nie żyję! -jęknął i uśmiechnął się do Toni z chłopcym wdziękiem. - Trudna ta gra. Myślisz, że spodoba się bliźniakom?

Toni zignorowała jego pytanie. Podczas wizyt w poradni dzieci Janet z zachwytem przyjmowały okazywane im zainteresowanie Josha. A Toni zawsze lubiła go obserwować, gdy bawił się z dwójką uroczych maluchów. Josh niewątpliwie uwielbiał dzieci, nawet jeśli sam nie zamierzał zostać ojcem. Lecz w tej chwili była zbyt zirytowana, aby złagodnieć na myśl o pozytywnych cechach jego osobowości.

- Przyjąłeś dziś dwudziestu ośmiu pacjentów - wycodziła - a ja nadal nie mam dwudziestu ośmiu notatek. Czy to za wiele prosić cię, żebyś przynajmniej przyniósł je do recepcji?

Josh zamrugał zdumiony.

- Chyba zapomniałem.

- Zawsze zapominasz! - parsknęła. - Tak samo jak o, zabranii brudnych kubków do kuchni. - Machnęła dłonią w stronę kolekcji fajansu na biurku. - Nie pamiętasz też o wizycie u fryzjera i spotkaniach, jeśli ci nie przypomnę. Pewnie ci też wyleciało z głowy, że chciałeś zrobić tu wiosenne porządki, bo teraz jesteś zadowolony z tego chaosu. Nie zjesz też lunchu, jeśli nie położę ci go przed nosem. Nic dziwnego, że wyglądasz na chorego.

- Wcale nie! - zaprzeczył oburzony.

- Jasne, że tak. Nawet Oliver martwi się o ciebie. Schudłeś, jesteś wymizerowany i robisz głupstwa.

- Na przykład jakie? Co, u diabła, w ciebie wstąpiło, Toni? Cóż takiego dziwnego zmalowałem?

- Zamknąłeś kluczyki w samochodzie.

- Wielkie rzeczy!

- Pomyliłeś dawkę na recepcie. - W głosie Toni zabrzmiało zatroskanie. - To do ciebie niepodobne. Co się z tobą dzieje?

Josh zacisnął szczęki, aż zadrgały mięśnie na policzkach. Najwyraźniej był bliski wybuchu.

- Co to jest, do licha?- warknął. - Przesłuchanie? Popelnilem błąd, który najwyżej można zgłosić w izbie lekarskiej. Według ciebie źle wykonuję swoje obowiązki?

- Nie, Josh. Ja tylko niepokoję się o ciebie - powiedziała z naciskiem. - Inni też.

- Lepiej pilnujcie własnego nosa! - Josh chwycił z biurka karty pacjentów. - Sam uzupełnię wpisy. Możesz iść do domu.

- Zerwał się na równe nogi. - Na litość boską, Toni, trujesz jak nudna żona. Zapomniałeś to, zapomniałeś tamto! Lada dzień mi powiesz, że za dużo piję.

- Może to i prawda - odparła, rozjątrzona jego podejściem. - Może na tym polega twój problem.

- Nie mam żadnego cholernego problemu!

Wzdrygnęła się i zbladła. Josh nigdy dotąd na nią nie krzyknął. On zaś natychmiast się zmiętył.

- Przepraszam - mruknął zakłopotany, pocierając dłonią czoło. - Ale nie jestem w nastroju do takiej rozmowy i nie pojmuję, czemu się czepiasz. - Spojrzał na nią jak ktoś, kto bardzo cierpi. - To nie w twoim stylu. Zawsze myślałem, że lepiej się rozumiemy.

- Też tak sądziłam. Może oboje się myliliśmy.

- Przepraszam - powtórzył. - To nie był najlepszy dzień. Rozmowa z Diane Granger okazała się trudna i wciąż nie mogę się uwolnić od sprawy Bena.

- W porządku - zapewniła pośpiesznie. - Nie ma o czym mówić.

- Jest. - Podszedł i delikatnie ją objął. - Bez powodu na ciebie wrzasnąłem. A przecież tak bardzo mi na tobie zależy.

Czy się przypadkiem nie przesłyszała? Joshowi na niej zależy? Odchyliła głowę do tyłu, aby bez słów wybłagać potwierdzenie. Zobaczyła, że jego piwne oczy pociemniały od malującej się w nich udreki i bezwiednie rozchyliła usta. W oczach Josha dostrzegła też zatroskanie. Oraz...

Nie, już nic więcej. Poczowała natomiast przelotne muśnięcie jego warg. Trwało zbyt krótko. Josh zawahał się, a ona wiedziała, że kolejne dotknięcie jego ust zmieni się w prawdziwy pocałunek. Może taki, który sprawi, że oboje zapomną o całym świecie i dadzą się ponieść namiętności.

Ale tak się nie stało.

- Przepraszam - kolejny raz powiedział Josh.

- Nie ma za co - szepnęła, otwierając oczy. - To ty mi wybacz, że na ciebie napadłam. Ale...

- Ale co? - spytał, jakby trochę zaniepokojony.

- No, zależy mi na tobie. - Jej serce boleśnie tłukło się w piersi. - Bardzo - dodała cicho.

Wyczuła, że Josh się od niej oddala, jeszcze zanim ją puścił.

- Nie musisz się o mnie martwić - mruknął. - Nic mi nie jest.

- Ale co z...

- Nie zaczynaj od nowa. Tylko wszystko pogorszysz. Idź do domu, Toni. Zrobię te wpisy. - Uśmiechnął się kwaśno. - I skończę wiosenne porządki. Nawet umyję te kubki.

- Więc mnie nie potrzebujesz? - spytała zaskoczona.

- Nie potrzebuję - zapewnił weselszym tonem. - Zapomnijmy o tej scysji. Jutro jest nowy dzień.

- Jasne - odparła sztucznie pogodnym tonem. - Nie ma sprawy.

Ale nie zapomniała o tej rozmowie. Jak mogłaby? Niemal wyznała mu miłość. A jego spojrzenie dowiodło, że zrozumiał to, czego nie powiedziała. Dostrzegła też w jego oczach coś innego. Gdy mówił, że jej nie potrzebuje, jego oczy temu przeczyły. Uczucie, które wczoraj tak Josha przeraziło, nie było wytworem jej wyobraźni. Nadal istniało, lecz Josh wyraźnie bronił się przed nim. Toni nie miała pojęcia, dlaczego, ale wiedziała jedno - do tanga trzeba dwojga. A Josh nie poprosił jej do tańca.

W następnym tygodniu Josh rzeczywiście wydawał się zajęty. Zgodnie z obietnicą nawet spróbował uporządkować gabinet, ale nie bardzo sobie z tym radził. Toni w końcu się

zlitowała i mu pomogła. Wyniosła pudła z rupieciami do magazynu, wyrzuciła część starych zabawek z wielkiego kosza i powiesiła na ścianach rysunki małych pacjentów, którzy z radością dawali je panu doktorowi. A w środę, po wyjściu Josha, postawiła na czystym biurku wazonik z tulipanami.

Gabinet nigdy nie wyglądał lepiej niż teraz i Toni była z siebie zadowolona. A dzięki dodatkowemu zajęciu nie miała czasu, aby się nad sobą roztkliwiać. Musiała też odpowiedzieć na oferty, ponieważ zgłosiło się wiele kandydatek na recepcjonistkę. Weekendowa wizyta u Janice Reynolds pozwoliła jej nabrać dystansu do własnych problemów. Janice zaprosiła ją również na kolację dziś wieczorem.

W weekend Bena nie było w domu. Toni i Janice jak zwykle poszły do ogrodu, gdzie Janice szykowała dla Toni sadzonki i trochę się zwierzała.

- Ben mówi, że złapał jakiegoś wirusa i dlatego leczy się u Josha. Ale jest taki milczący, jakby odcinał się ode mnie. To boli.

- Długo się nie widzieliście. Oboje pewnie potrzebujecie czasu, aby przystosować się do nowej sytuacji.

- Może i tak. Przynajmniej nie muszę się martwić, że to pierwsze stadium Huntingtona. - Janice westchnęła. - To, co przeszłam, gdy chorował Jim, omal mnie nie zabiło. Teraz muszę jakoś się trzymać z powodu Bena. Całe szczęście, że nie odziedziczył tego genu po ojcu. Mam dla kogo żyć.

Toni jakimś cudem zdobyła się na uśmiech. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale Janice nie oczekiwała słów. Po chwili wręczyła jej garść nasion ostróżki.

- Część powinna zakwitnąć na biało. - Poklepała Toni po ręce. - Ben na pewno dojdzie do siebie. Postanowił zapisać się do aeroklubu i trochę polatać.

- Sądzisz, że latanie to dobry pomysł? - z obawą w gło-

sie spytała Toni. Jeśli Ben zacznie mieć problemy z koordynacją ruchów i koncentracją uwagi, pilotowanie samolotu może stać się niebezpieczne.

Janice z uśmiechem skinęła głową.

- Ben nie usiadłby za sterami, gdyby coś było z nim nie tak. Ma doświadczenie.

W środę wieczorem okazało się, że Janice miała rację. Tego popołudnia Ben latał małą cessną i był tym zachwycony.

- Dzisiaj poleciał ze mną klubowy pilot. Chciał mnie sprawdzić, ale w przyszłym tygodniu będę latał sam. - Radośnie uśmiechnął się do matki. - Może wezmę cię z sobą? Spróbujemy zrobić korkociąg i beczkę.

- Chętnie się z tobą przelecę, ale darujmy sobie akrobacje.

Był to cudowny wieczór, pełen wspomnień i mrozących krew w żyłach opowieści, których Ben nie przelał na papier, pisząc do matki listy z podróży.

- Zamartwiałyby się o mnie - wyjaśnił Toni.

- Nie wątpię - przyznała.

Przy deserze popatrzyła na rękę Bena, gdy podnosił do ust łyżeczkę. Dłoń lekko drżała i Toni pośpiesznie odwróciła wzrok. Ben był szczęśliwy, jego matka odetchnęła z ulgą, należy więc odłożyć niepokój na bok. Przynajmniej na razie.

Niepokój znów dał o sobie znać nazajutrz rano, lecz najpierw trzeba było zająć się czymś innym.

- Słyszałeś o Bobie Grangerze? - cicho spytała Toni, gdy przyszedł Josh.

- Nie, a bo co? - Na widok jej miny zmarszczył brwi.

- Zmarł w nocy. We śnie. Diane powiedziała, że bardzo spokojnie.

- To dobrze.

Ton Josha wprawił Toni w osłupienie.

- Dobrze, że już po wszystkim - poprawił się Josh. -I że nie cierpiał. Mogłoby być dużo gorzej.

- Miał tylko czterdzieści trzy lata - mruknęła Toni, nadal oszołomiona chłodem Josha.

- Niektórzy ludzie nie żyją nawet tak długo. - Sięgnął po książkę z zapisów, lecz Toni ją przytrzymała.

- Zaczekaj chwilę. - Opowiedziała mu o wczorajszej kolacji oraz drzeniu ręki Bena. - Janice niczego nie podejrzewa. Cieszy się z jego latania i nawet ma ochotę zabrać się jako pasażerka. Nie sądzisz, że to trochę niebezpieczne? Może lepiej jej powiedzieć?

- Nie! - odparł Josh. - To decyzja Bena. Nie mieszaj się w tę sprawę, Toni. - Odwrócił się tak szybko, że łokciem zawadził o szklanę wody. - Niech to diabli! - ryknął. - Ile razy mam ci powtarzać? Jak można stawiać szklanę w takim idiotycznym miejscu?

- Wybacz.

Pośpiesznie ratowała dokumenty przed potopem. Niby dlaczego przeprasza? Przecież nie zawiniła. To Josh mógłby bardziej uważać. Może po prostu chciał, żeby przestała mówić o Benie? Otworzyła usta, aby jednak dokończyć ten temat, ale gniewne spojrzenie Josha powstrzymało ją od powiedzenia czegokolwiek. Josha nie interesowało jej zdanie. Cóż, może rzeczywiście wtyka nos w nie swoje sprawy, lecz zachowanie Josha trochę ją zirytowało.

Nadal była rozdrażniona, gdy później poszła do jego gabinetu. Z miny Josha wywnioskowała, że raczej nie ucieszył się na jej widok. Wazonik z tulipanami stał z boku, w kałuży wody, jakby został odsunięty ręką osoby zirytowanej jego obecnością.

- Czego chcesz, *Mokradelko*?

Wyraźna irytacja w głosie Josha dołała oliwy do ognia. Już dał do zrozumienia, że jej opinie nie są mile widziane. Nie docenił kwiatów. Zlekceważył ją jako zatroskanego pracownika i jako kobietę, skoro nazywał ją tak paskudnie. Twarz Toni stężała.

- Po pierwsze, Josh, wołałabym, żebyś tak do mnie nie mówił. Nigdy nie lubiłam, jak nazywasz mnie *Mokradelkiem*.

- Serio?

- Serio.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Oboje wiedzieli, że ona kłamie. Pamiętali, skąd wzięło się to przezwisko i kiedy. Było to pierwszego dnia jej pracy w poradni St. David's. Młody doktor Cooper akurat rozmawiał ze swoją księgową.

- Chodzi o pensję mojej nowej recepcjonistki - powiedział, nie zauważwszy, że Toni stoi tuż za nim. - Może pani ustalić wysokość w oparciu o doświadczenie zawodowe? - Przez moment słuchał odpowiedzi. - Boże, nie pamiętam - jęknął. - Toni... zapomniałem nazwiska. Kojarzy się z czymś wilgotnym. Bagno czy coś w tym stylu.

- Bagien - syknęła czerwona jak burak ze złości.

Josh uroczo się zawstydził i to sprawiło, że poczuli do siebie sympatię. A przezwisko stało się jakby żartem, który rozumeli tylko oni. Oboje byli zadowoleni z faktu, że łączy ich coś w miarę osobistego. Choć bez przesady. Teraz Toni robiła krok wstecz.

- Mogłaś mi powiedzieć - mruknął oskarżycielsko.

Święta prawda, pomyślała. Doprawdy żalotne, że pozwoliła, aby przez tyle lat używał tego przezwiska i jeszcze była wdzięczna za pobrzmiwającą w nim serdeczność. A przecież to wstrętne słowo w skrócie określało całą Toni. Czyniło z niej paskudny element krajobrazu.

- Dobrze. - Josh przerwał milczenie. - Jak mam się do ciebie zwracać? Panno Bagien? Antoinette? - Drgnął, konstatając ze zdumieniem, że pierwszy raz wymówił jej pełne imię.

Ona też była lekko zaskoczona. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki dystans stwarzało jej przezwisko. Było takie bezosobowe. Niekobiece.

- Wystarczy Toni - odparła, przelknąwszy ślinę.

- W porządku, Toni. - Nieco ironiczny nacisk sprawił, że drgnęła. - Tylko dlatego przyszedłeś?

- Nie. - Buntowniczo uniosła głowę, urażona jego tonem. - Po piątej zjawi się kilka kandydatek. Może chciałbyś z nimi porozmawiać.

- Oczywiście, jeśli jeszcze tu będę. Chociaż lepiej spytać o zdanie Sophie i Olivera.

- Dlaczego? Ciebie też czeka współpraca z tą osobą. Josh zrobił taką minę, jakby miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Zawiadom mnie, gdy przyjdzie pierwsza osoba.

Toni wróciła do recepcji, myśląc o Joshu. Sprawia wrażenie strasznie zmęczonego, wręcz wykończonego. I zachowuje się agresywnie jak nigdy dotąd. Co się z nim dzieje? Zapewne nie pomogła mu, mieszając się w sprawę, którą niewątpliwie się gryzł, a później atakując go z powodu przezwiska. Ale musiała to uczynić. Najwyższy czas uporządkować parę rzeczy. Może Josha też należy lekko popchnąć w odpowiednią stronę, bo zmierza prostą drogą do samounicestwienia.

Kobieta, która parę minut później weszła do poczekalni, wyglądała na okaz zdrowia.

- Cześć, Ruby! - powitała ją Toni. - Wyglądasz wspaniale. Chyba jeszcze zeszczuplałeś?

Ruby Murdock skromnie skinęła głową.

- W klubie strażników wagi wybrano mnie na kobietę miesiąca. Od wagi idealnej dzieli mnie tylko pięć kilogramów.

- Masz śliczny kombinezon. - Toni przesunęła wzrokiem po jasnoniebieskim stroju z miękkiego dżinsu. - Nawet bardziej mi się podoba niż tamten różowy. - Wychyliła się za blat i uśmiechnęła do małej dziewczynki trzymającej Ruby za rękę. - Cześć, Laura. Chcesz zabawną nalepkę?

Wnuczka Ruby pokręciła głową i ukryła buzię w tkaninie niebieskich spodni babci.

- Mała nie czuje się dobrze - wyjaśniła Ruby. - Dlatego wpadłam. Właśnie odebrałam ją z przedszkola. Może doktor Bennett mogłaby ją zbadać. Och! - Ruby przycisnęła dłoń do ust. - Chyba powinnam powiedzieć „doktor Spencer”.

- Nie. Państwo Spencer uznali, że wprowadziłoby to niepotrzebne zamieszanie. Sophie nadal będzie przyjmować jako doktor Bennett. Ale teraz jej nie ma. Załatwia wizyty domowe.

- Szkoda. - Ruby trochę się zmartwiła. - Może to głupstwo, ale nie mogę niczego zlekceważyć. Moja córka Felicity i jej mąż pojechali na Fidżi w drugą podróż poślubną, a ja przez dwa tygodnie będę opiekować się trójką ich dzieci.

- Ambitne zadanie, Ruby.

- To był mój pomysł - z dumą oświadczyła Ruby. - W ciągu ostatnich kilku lat Felicity tyle dla mnie zrobiła, kosztem swojego życia rodzinnego. Chciałam im obojgu jakoś podziękować, więc zapłaciłam za tę wycieczkę. Mam nadzieję, że dobrze się bawią. Wyjechali dopiero wczoraj.

- Szczęściarze! Tylko pomysł: złocista plaża, słońeczko. U nas chyba się ochłodziło, prawda?

- Babciu - Laura pociągnęła Ruby za rękę - chcę do domu.

Toni przez chwilę patrzyła na zarumienioną buzię dziecka.

- Chyba ma gorączkę, Ruby. Kiedy poczuła się źle?

- Rano było wszystko w porządku, ale czesząc ją, zauważyłam na szyi taki nieładny wykwit. Spójrz.

Toni w zamyśleniu wydeła wargi.

- Czy Laura miała ospę wietrzną?

- Chyba nie. Nathan i Tim też na to nie chorowali. O Boże! - jęknęła Ruby.

- Nie panikuj. - Toni ruszyła do drzwi. - Sprawdzę, czy Janet wróciła z lunchu. Ona się na tym zna.

Ale w pokoju dla personelu zastała tylko Josha. Jadł kanapkę, którą mu zostawiła. Chyba był zamyślony, bo na widok Toni zakrztusił się, po czym szybko popił jedzenie wielkim haustem kawy. A spojrzenie, które posłał Toni, sugerowało, że to jej wina. Zignorowała je.

- Przyszła Ruby Murdock z Laurą. Mała chyba złapała ospę. Chciałam, żeby Janet zerknęła na dziecko, ale...

- Zaraz się nią zajmę. - Josh wrzucił do kosza resztę kanapki.

- Może się mylę. Mogłeś najpierw skończyć lunch...

- Nie jestem głodny. - Uśmiechnął się na widok jej zaniepokojonej miny. - I wątpię, czy się mylisz, Toni. Mam pełne zaufanie do twojej intuicji. Zawsze wiesz, co dolega ludziom, którzy tu przychodzą.

Uśmiech i komplement przypawił ją o rumieńce.

- Umie to każda dobra recepcjonistka.

- Skądże. Sprawdziłem dużo więcej recepcjonistek niż ty.

- Nie wątpię - odparowała, sprowokowana dwuznacznością jego słów, a Josh parsknął śmiechem.

- Wiesz, że nie to miałem na myśli. - Wylał resztę kawy

do zlewu. - Przejrzałem podania tych kandydatek. Nie sposób znaleźć kogoś podobnego do ciebie.

- To tylko kwestia przeszkolenia. Sam zobaczysz.

Toni skróciła listę kandydatek do sześciu. Tylko Janet nie wzięła udziału w rozmowach kwalifikacyjnych. Dzięki temu były tylko cztery różne opinie zamiast pięciu.

- Mnie się podoba Gwen Bainbridge - oznajmił Oliver.

- Ma imponujące doświadczenie zawodowe.

- Bo jest najstarsza - stwierdziła Sophie. - Ma prawie sześćdziesiątkę i wydaje się opryskliwa.

- Tego bym nie zniósł - oświadczył Josh. - Tylko mnie wolno tu mieć humory. Moim zdaniem najlepsza będzie Melanie Long.

- Bo jest najładniejsza - mruknął Oliver. - Masz słabość do takiej urody.

- Ja uważam, że powinniśmy przyjąć Ricky'ego. - Sophie uśmiechnęła się figlarnie. - Byłoby super mieć za tym biurkiem faceta.

Oliver i Josh jęknęli wymownie.

- W ogłoszeniu nie można podawać płci. To byłaby dyskryminacja - wyjaśniła Toni. - Dzisiaj trzeba być pracodawcą, który stwarza równe szanse. Ricky przysłał wspaniałe podanie.

- Kogo ty byś wybrała, Toni? - poważnie spytał Josh.

- Chyba Sandy Smith. Co prawda dopiero skończyła szkołę, ale jest bystra, komunikatywna i miła w obejściu. Idealna.

- No to załatwione - odparł Josh. - Toni wie najlepiej, kogo nam trzeba. I to ona ją przeszkoli.

Oliver i Sophie nie zgłosili zastrzeżeń. Chcieli jak najszybciej iść do domu.

- Kiedy nowa zaczyna? - spytała Sophie, zapinając płaszcz.

- Im szybciej, tym lepiej - odparła Toni. - Jutro ją zawiadomię.

Josh zamruczał coś niewyraźnie.

- Jakiś problem? - Toni uniosła brwi.

- Nic, czego nie rozwiąże duży drink i porządny sen.

Może potem łatwiej zniosę te zmiany.

- Sen na pewno ci się przyda. - Oliver klepnął go w plecy.

- Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

Josh odprowadził go złym spojrzeniem i równie ponuro popatrzył na Toni.

- Lepiej nie zaczynaj. To wszystko twoja wina. Wiosenne porządki są strasznie męczące.

- Robiłeś je dwa tygodnie temu - przypomniała. - To znaczy zacząłeś. A ja za ciebie skończyłam.

- Rezultaty są oszałamiające. - Uśmiechnął się z autentyczną wdzięcznością. - I te kwiaty... Naprawdę śliczne.

- Na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. - Ale jakoś dziwnie się tam czuję. Jest za czysto. Zupełnie jakbym miał się wyprowadzać.

- Możesz odrobinę nabałaganić - zaproponowała łaskawie. - Lepiej żeby nie chodziły ci po głowie myśli o przeprowadzce. Jesteś tu równie trwałym elementem wyposażenia jak ja.

Przez moment patrzył na nią z zastanawiającą miną.

- Szkoda, że... - Urwał i raptownie wstał. - Nieważne.

Do jutra, *Mokrad*... Toni.

Nazajutrz rano wciąż się zastanawiała, co chciał jej powiedzieć poprzedniego wieczoru. Ciekawe, czego żałował. O czym marzył. Znała go tak dobrze, potrafiła wyczuć jego nastrój i czytać z twarzy jak z otwartej książki, lecz jednocześnie tak mało o nim wiedziała. Nie pozwalała

jej zajrzeć w swoje życie prywatne. I pewnie nigdy nie pozwoli.

Wchodząc do poradni, westchnęła ciężko. Lepiej zmieni to „pewnie” na „z pewnością”, pomyślała. Po dziesięciu latach nasuwał się tylko taki wniosek.

Zerknęła na zegar i wcisnęła przycisk w aparacie telefonicznym. Co prawda przed dziewiątą nie musiała go włączać, ale zazwyczaj to robiła zaraz po przyjściu. Zdarzało się bowiem, że w nagłych przypadkach pacjenci zapisywali się na wizytę jeszcze przed otwarciem poradni. Telefon zabrzączał prawie natychmiast, a Toni intuicyjnie wyczuła, że tym razem chodzi o coś innego niż zwykle.

Gdy parę minut później przyszli Oliver i Sophie, nadal ścisnęła w drżącej ręce słuchawkę i płakała.

- O Boże, Toni! - Oliver upuścił torbę lekarską i podbiegł do niej. - Co się stało?

- To Josh... - Ledwie wydobyła z siebie głos. - Miał wypadek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wypadek? - Sophie zbladła. - Jest ranny?
- Mówi, że nie, ale... ale... - Toni chlipnęła głośno. -

Ale mogło mu się coś stać!

Oliver i Sophie wymienili znaczące spojrzenia. Sophie otoczyła Toni ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła.
- Gdzie on teraz jest? - spytał Oliver. - I co się stało?
- Na Centaurus Road, przy rondzie. Podobno się spóźni.

Mówił, że... - Urwała, zaalarmowana wyciem syreny karetki pogotowia. - Myślicie, że to...

Oliver z uśmiechem potrząsnął głową.

- Jeśli zadzwonił, aby powiedzieć, że się spóźni, to na pewno nie przyjedzie karetką. Zaraz tam skoczę, to niedaleko. Pojedziesz ze mną, Toni?

- Och, nie! Nie chciałby mnie tam zobaczyć. Nie mam pojęcia, czemu w ogóle tak reaguję.

Sophie i Oliver znów popatrzyli na siebie wymownie i uśmiechnęli się jak ludzie, którzy wiedzą w czym rzecz.

- Napijmy się herbaty - zaproponowała Sophie. - Dopilnuj, żeby w razie potrzeby Josha zbadano - powiedziała do męża. - My, kobiety, podyżurujemy tutaj.

Dwadzieścia minut później samochód Olivera wjechał na parking. Sophie i Toni usłyszały marudzenie Josha, jeszcze zanim wszedł do wnętrza.

- To głupstwo - przekonywał. - Na litość boską, Oliver, daj mi spokój.

- Sam zafundowałeś sobie trochę spokoju - odparował Oliver. - Pozwól, że chociaż rzucę okiem na twoją głowę.

Toni jak zahipnotyzowana patrzyła na otwierające się drzwi. Josh był blady, zdenerwowany i rozdrażniony, na czole miał guza wielkości golfowej piłki, a na koszuli - krew.

- Przyniosę lód - oznajmiła Toni. - Zabierz go do pokoju zabiegowego, Oliver. Niech trochę poleży.

- Nie muszę leżeć - burknął Josh. - Nie jestem inwalidą. Idę do gabinetu. Poproszę o czarną kawę, Toni. Możesz przysłać pierwszego pacjenta!

Gdy odszedł, Toni spojrzała błagalnie na Olivera. Potrząsnął głową, wzruszając ramionami.

- Chyba nie ma wstrząśnienia mózgu - odpowiedział na nieme pytanie. - Ale jest cholernie wkurzony.

- Co się stało? - spytała Sophie. - To była jego wina?

- Nie, - Oliver zachichotał. - Kot wybiegł na drogę, chociaż Josh pewnie gnał za szybko po śliskiej drodze. Biedaczek skasował przednią połowę swego cennego autka, gdy zmiotł pojemnik na śmieci i wjechał na latarnię. Wszystko po to, żeby nie rozjechać kociaka.

- I nie rozjechał?

- Nie. Ale kiciuś zablokował się między pojemnikiem a latarnią i Josh uderzył się w głowę, usiłując zwierzaka wy dostać. - Oliver uśmiechnął się na widok min swego audytorium. - Kot przeżył, więc po drodze zawieźliśmy go do weterynarza. Jest trochę poraniony, chyba ma złamaną nogę i... - Oliver zawiesił głos. - Za pazurami trochę Josha.

Chóralny śmiech, choć może nie całkiem na miejscu, rozładował nerwową atmosferę. Josh wyjrzał z pokoju.

- Gdy już przestaniecie bawić się moim kosztem, a ko-

szty na pewno będą zawrotne, to może wreszcie weźmiecie się do roboty! - Posłał im mordercze spojrzenie. - Gdzie, u diabła, jest Janet? Znowu się spóźnia? Miałaś mi przynieść kawę, Toni.

Toni wsypała do kawy dwie łyżeczki cukru, wzięła też z zamrażarki lodowy kompres, a z pokoju zabiegowego - trochę panadolu. Josh siedział przy biurku i kończył rozmawiać przez telefon.

- Przynajmniej firma ubezpieczeniowa okazała mi trochę współczucia. - Łypnął złym wzrokiem na rzeczy przyniesione przez Toni. - Prosiłem tylko o kawę - mruknął jak ostatni niewdzięcznik.

- Powinieneś się cieszyć, że ktoś o ciebie dba - parsknęła Toni. - Na miłość boską, Josh, mogłeś zostać poważnie ranny.

- Wybacz. - Josh zrobił skruszoną minę. - Nie zasługuję na twoją troskliwość, prawda?

- Nie. - Postawiła kubek obok tabletek i niepewnie spojrzała na Josha. - Ale nie jesteś?

- Co nie jestem?

- Poważnie ranny. - Głos leciutko jej się załamał.

Josh sięgnął po kawę i musnął ręką palce Toni. Chwytał jej dłoń i serdecznie uściskał.

- W ogóle nic mi nie jest. Tylko moja duma została zraniona. To mój pierwszy wypadek. A potem jak głupi walnąłem się w głowę, usiłując sprawdzić, czy rozjechałem tego kota.

Toni spostrzegła, że jego ręka dygocze. Dlaczego? A może to jej dłoń tak drży? Nie zdążyła się upewnić, bo Josh zauważył jej spojrzenie i cofnął swoją. A gdy się odezwał, w jego głosie już nie było ciepła.

- Przyłożę ten kompres, jeśli to cię uszczęśliwi - warknął.

- A teraz spadaj i daj mi popracować. Tobie chyba też nie brak obowiązków.

Miał rację - w poczekalni siedziało sporo pacjentów. Przyszła też Ruby Murdock z trójką wnucząt. Buzia Laury była pokryta wykwitami.

- Zabrałam chłopców ze szkoły - oświadczyła Ruby. - Jeszcze nie mają wysypki, ale źle się czują. A biedna Laura narzeka na swędzenie. Oby doktor Bennett jakoś mogła jej pomóc.

- Na pewno pomoże. - Toni uśmiechem dodała Ruby otuchy. - Zaprowadź dzieci do gabinetu Sophie. Zaraz was przyjmie.

Toni zamierzała z samego rana zawiadomić Sandy Smith, że dostała pracę, ale przez pół godziny nie mogła znaleźć wolnej chwili.

- Doktor Cooper wysłał mnie do dermatologa - powiedziała do Toni starsza pani. - Polecił doktora Amberly'ego. Chciałabym pójść prywatnie. Mam ubezpieczenie.

- Świetnie, pani Batchelor. Zapisać panią od razu?

- Tak, bardzo proszę. - Starsza pani pochyliła się nad blatem w stronę Toni. - To swędzenie doprowadza mnie do szału - dodała przyciszonym głosem. - A to takie miejsce, w które nie można się podrapać. Przynajmniej nie między ludźmi.

- Zaraz się tobą zajmę, Terry. - Toni skinieniem głowy pozdrowiła młodego mężczyznę, który stał w kolejce, aby zapłacić za wizytę. - Będziesz musiał wypełnić ten formularz.

Sympatyczny uśmiech nie schodził dzisiaj z ust Toni. Wręczyła ankietę Terry'emu i spojrzała na wiszącą na ścianie listę specjalistów. Szybko wystukała numer telefonu poradni, w której przyjmował doktor Amberly.

- Co biedny doktor Cooper zrobił sobie w głowę? - spytała pani Batchelor.

- Miał mały wypadek, ratując kota. - Toni odsłoniła mikrofon. - Michelle? Tu Toni z poradni St. David's. Chciałabym zapisać naszą pacjentkę do doktora Amberly'ego. Tak, jak najszybciej. - Pytająco uniosła brwi, a pani Batchelor energicznie kiwnęła głową.

- Ratował kota? Cały doktor Cooper, co? - stwierdziła z podziwem, patrząc na Terry'ego, który studiował formularz.

- Mogą panią przyjąć w środę, pani Batchelor. O drugiej, zgoda?

- Och, nie, moja droga. W środy zawsze grywam w mah-jonga.

- Co mam tu wpisać? - jęknął Terry. - Chyba nie muszę dokładnie wyjaśnić, jak uszkodziłem sobie kręgosłup?

Do recepcji pośpiesznie weszła Sophie i wzięła kartę kolejnego pacjenta. Ruby Murdock zostawiła wnuki przy pudle z zabawkami i stanęła na końcu kolejki. Jakieś małe dziecko, które z zachwytem balansowało na własnych nóżkach, trzymając się półki z gazetami, nagle się pośliznęło, uderzyło w czoło i żałośnie rozplakało. Toni ścisnęła w dłoni słuchawkę.

- Więc może w czwartek o jedenastej, pani Batchelor?

- Niech pomyślę, kochanie. - Kobieta utkwiała wzrok w jakimś punkcie ponad ramieniem Toni. - Wtedy mogę... Gdzie jest poradnia doktora Amberly'ego?

- W Merivale.

- Och, to strasznie daleko. Nie jeżdżę samochodem, moja droga.

Płaczący maluch nie dawał się uspokoić zakłopotanej matce. Jego zawroźnienie stało się jeszcze głośniejsze.

- A jak sobie go uszkodziłeś, młody człowieku? - Ruby Murdock zadrżała Terry'emu przez ramię. Chłopak oniemiał na widok jej różowego kombinezonu, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Uprawiałem seks pod prysznicem - odparł bez żenady.
- Pośliznąłem się.

- Coś takiego! - zawołała zdumiona Ruby, po czym mrugnęła porozumiewawczo. - Chyba lepiej, żebyś tego nie podawał na formularzu ubezpieczeniowym.

- Napisz tylko, że się pośliznąłeś, biorąc prysznic - poradziła Toni, odłożywszy słuchawkę. - Pani Batchelor, tu jest data i godzina wizyty. Jeśli zechce pani coś zmienić, proszę zadzwonić do nich. Za dzisiejszą wizytę należy się dwadzieścia pięć dolarów.

- Naprawdę? Doktor Cooper powiedział, że nic.

- Tak? - Toni zauważyła wyraz zainteresowania na twarzy Ruby. Następnym razem niewątpliwie poprosi o wizytę u hojnego doktora Coopera. Toni skinęła głową i przeniosła uwagę na Terry'ego. - Czy doktor Spencer dał ci zaświadczenie potwierdzające niezdolność do pracy? Przez jaki okres?

- Przez tydzień. Dźwigam duże ciężary.

- Dostałeś to pismo?

- Nie.

- Zaraz to sprawdzę. - Po drodze zajrzała do pokoju zabiegowego. Janet właśnie łaskotała w brzuszki leżące na wadze niemowlę. — Janet, mogłabyś na moment się przy telefonie? - Olivera zastała w kuchni. Była tam również Sophie i oboje popijali kawę. - Oliver, wypisałeś zaświadczenie dla Terry'ego?

- Leży na moim biurku. Przepraszam, Toni. - Oliver znów odwrócił się do żony. - A propos prysznica, skarbie...

Lepiej skreślić go z listy. Albo przynajmniej bardzo uważać, gdy bawimy się mydłem...

Toni prawie wpadła na Josha, wychodząc z kuchni.

- Co za cholerny bałagan panuje w tej recepcji. Toni, mogłabyś sobie robić przerwę na herbatkę kiedy indziej.

Posłała mu ponure spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

- I spróbuj uciszyć tego piekielnego krzykacza. Daj mu lizaka albo coś.

- To twój pacjent - odparła ostro. - Może raczysz go przyjąć?

- I tak głowa mi pęka. Przyślij go, kiedy przestanie piszczeć. - Ominął ją i wszedł do kuchni. - Muszę napić się kawy,

Informacja o bólu głowy Josha nie wywołała w Toni współczucia. Jej też boleśnie pulsowało w skroniach. Chwyliła zaświadczenie dla Terry'ego i wróciła do recepcji. Po chwili płaczący maluch się uspokoił i tylko miał czkawkę. Jego mama z niepokojem oglądała guza na czole synka. Toni zaprowadziła ją i chłopczyka do gabinetu Josha.

- Widzisz? - powiedziała do dziecka. - Doktor Cooper też nabił sobie takiego guza.

Parę minut później Janet przyniosła Toni torbę chłodzącą.

- Ross zaraz przyjedzie po te próbki. Ale dzisiaj młyn, co?

- Jeszcze jaki! - przyznała Toni. - Ostatnio bywa tak codziennie. To chyba ta pogoda. Jest za zimno, a kiedy nie ma mrozu, leje deszcz.

- Josh w porządku? Podobno rozbił samochód i jest zły. Dziś już się mnie czepiał.

- Czuje się dobrze, tylko jak zwykle ma muchy w nosie. Leczy się czarną kawą. Czego od ciebie chciał?

- Chodziło o leki, w tym narkotyki, które rzekomo w ze-

szłym tygodniu kazał mi zamówić. Rzeczywiście, zapas się kończy, ale Josh nic mi nie mówił. Natychmiast przefaksowałam listę, ale on i tak narzekał.

- Od dawna jest nie w sosie - mruknęła Toni. - Zresztą wszyscy jakby straciliśmy ducha.

- Oliver i Sophie przypominają dwa gołąbki.

- Oni nic nie zauważają. Ciągłe są w siódmym niebie.

- Toni przygryzła wargę. - Prawdę mówiąc, to chyba ja straciłam ducha. Wciąż zmagam się z zaległościami, a Josh wyładowuje na mnie swoje złe humory.

- Będzie ci łatwiej, gdy dostaniemy nową recepcjonistkę. Wybraliście kogoś?

- Niejaką Sandy Smith. Jest młoda i pełna zapału. Dzięki za przypomnienie. Muszę ją zawiadomić, że została przyjęta.

- Przyjdzie na cały etat?

- Początkowo będzie tu tylko po południu. Obecnie jest nianią kilkorga dzieci, a później zobaczymy. - Toni zamyśliła się i spod oka spojrzała na Janet. - Wiesz, kiedy już ją wyszkolę, chyba sama poszukam nowej pracy.

- Poważnie? - Janet zrobiła duże oczy. - Z powodu Josha?

- Tak. Coraz trudniej z nim pracować. Uwielbiałam to miejsce, lecz teraz chętnie cofnęłabym czas o dziesięć lat. Żałuję, że wsunęłam nogę za te drzwi.

Noga, która w tej chwili stała za drzwiami, należała do Josha. Toni zaczerwieniła się, niepewna, ile usłyszała. I od razu buntowniczo podniosła głowę. Przecież powiedziała prawdę. Praca z Joshem rzeczywiście stawała się nie do zniesienia, choć nie tylko z powodu jego humorów. Od tamtego zebrania personelu Toni coraz częściej myślała o odejściu stąd. Pragnęła zacząć wszystko od nowa.

- Nie mówisz poważnie. - Josh patrzył na nią oszołomiony. Janet dyskretnie wymknęła się na korytarz.

- Niby dlaczego?

- Tworzymy zespół, Toni. Nie dałbym sobie rady bez ciebie.

- Dałbyś. - Odwróciła wzrok. - Wyszkołę Sandy. Może nawet będzie oddawać twoje ciuchy do pralni i przeganiać twoje byłe dziewczyny. Powinnam dopisać to do listy obowiązków.

- A możesz dopisać przyjaźń? - Josh wyglądał na zmartwionego. - I znoszenie moich wybryków, które wcale nie znaczą, że nie doceniam czyjegoś wsparcia?

- Takiej roboty nikt nie przyjmie. - Toni uśmiechnęła się wbrew sobie. Po raz pierwszy od dawna Josh znów był sobą. A w niej znów odezwała się wrodzona lojalność.

- No właśnie - mruknął, jakby czymś zafrasowany. - Przepraszam cię, Toni. Ostatnio byłem dla ciebie okropny. To wina mojego stylu życia. Jestem już za stary, żeby nadal tak szaleć, więc postanowiłem to i owo zmienić. - Spojrzał na nią błagalnie. - Będę miły, słowo daję.

Brzęczenie telefonu osłabiło skutki zniewalającego uśmiechu Josha.

- Poradnia St. David's, mówi Toni. - Wiedziała, że Josh nadal na nią patrzy. - Dzień dobry, panie Collins. Jak pan się miewa? Doprawdy? To brzmi poważnie. Sprawdzę, czy doktor Cooper może dzisiaj pana przyjąć. - Przeniosła na Josha wzrok, w którym było wyzwanie.

Przecząco poruszył głową, po czym się zmitygował i zrobił zrezygnowaną minę, a Toni zerknęła w książkę zapisów.

- Proszę przyjść o drugiej czterdzieści pięć, panie Collins. A na razie niech pan trochę poleży. - Odłożyła słuchawkę. - Bóle w klatce piersiowej, palpitanie, poty i nudności - wyjaśniła.

- Coś nowego - mruknął. - Pewnie przestudiował opis stanu przedzawałowego w „Reader's Digest”.

- Pewnego dnia naprawdę zachoruje.

- Wiesz, jaki jest. Na wszystko narzeka. Od zawsze.

Wiedziała, że Josh usiłuje przypomnieć jej, jak długo razem pracują. W ciągu tych lat naprawdę się zżyli. Było jasne, że nie można ot tak sobie zerwać tak silnej więzi. Toni zrozumiała zawartą w słowach Josha sugestię i skinęła głową. A on natychmiast się odprężył, jakby obiecała mu gwiazdkę z nieba.

- Mogłabyś zadzwonić do weterynarza? - poprosił. - Jeśli oczywiście znajdziesz wolną chwilkę - dodał. - Warto sprawdzić, czy ten cholerny kot przeżył.

Okazało się, że tak, ale radość z tego faktu zagłuszyło coś innego.

- Właśnie telefonowała Janice - poinformowała Josha Toni. - Ben rano poleciał na zachodnie wybrzeże. Janice zamierzała też się wybrać, ale zrezygnowała. - Na twarzy Toni pojawił się niepokój. - Miał wrócić dwie godziny temu, ale dotąd go nie ma. Zgłoszono zaginięcie.

Josh patrzył na nią w milczeniu.

- Rozmawiałeś z nim wczoraj, prawda? Jakie sprawiał wrażenie?

- Nie był w najlepszym nastroju - przyznał Josh. - Podczas lunchu miał problem. Janice na szczęście nie było w domu.

- Jaki problem?

- Cóż... kłopoty z przełykaniem. I zwymiotował.

- O Boże! Jak jego ojciec.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ben nie zaprosiłby matki na lot, gdyby nie zamierzał z niego wrócić. Na razie nie wiemy, co się stało.

Prawie przez cały weekend trwały poszukiwania. W końcu odnaleziono wrak samolotu i przetransportowano ciało Bena. Toni przez cały czas była z Janice, dodatkowo przygnębiona faktem, że musi zachować dla siebie wiedzę o chorobie Bena.

- Wyglądasz okropnie, Toni - stwierdził Josh, gdy w poniedziałek rano zastał ją w pokoju dla personelu.

- Ty też. - Uśmiechnęła się przez łzy.

- Co z Janice?

- Jest załamana. Obiecałam, że rano do niej zajrzysz.

Może dasz jej coś na uspokojenie. Najbliższe dni będą trudne.

- Zaraz pojedę, jeśli przesuniesz pierwsze wizyty.

- Powiesz jej? - Oboje wiedzieli, o co spytała.

- Nie.

Na twarzy Josha malowało się takie cierpienie, że musiała odwrócić wzrok.

- Może łatwiej pogodziłaby się ze śmiercią Bena, gdyby знаła prawdę...

- I zaczęła myśleć, o ile gorzej by było, gdyby żył? -

Josh potrząsnął głową. - Ben chciał oszczędzić matce świadomości, że odziedziczył chorobę. Mamy prawo to mu odebrać?

- Chyba nie - przyznała, a Josh pogłaskał ją po rękę.

- Sądzisz, że Janice łatwiej pogodziłaby się ze stratą syna, gdyby wiedziała, że to nie był wypadek? Gdyby wiedziała, że Ben przez te wszystkie lata zachował swe obawy tylko dla siebie?

- Pewnie poczułaby się zraniona, że jej nie zaufał. Może nawet miałyby z tego powodu poczucie winy.

- Niełatwo zaakceptować śmierć kogoś kochanego - łagodnie powiedział Josh. - A samobójstwo takiej osoby rani

bardziej niż wypadek. Jest jakby wyrazem ostatecznego odrzucenia.

- Nie wiadomo na pewno, że to nie był wypadek...
- Nie.
- Nie wiemy też, czy Ben na pewno miał Huntingtona.
- Właśnie - ponuro stwierdził Josh. - A tajemnica zawodowa zamyka nam usta. Powinniśmy ją uszanować. Oboje.

Toni skinęła głową. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuła silną więź łączącą ją z Joshem. Rzeczywiście są zespołem.

- Przydziesz jutro na pogrzeb?

Umknął spojrzeniem w bok, lecz zdążyła się zorientować, że go przeraża ta perspektywa.

- A ty? - spytał w napięciu.
- Oczywiście.

Odchrząknął i znów popatrzył na nią.

- Więc pójdziemy razem - zaproponował. - Jeśli to ci odpowiada.

- Tak. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Dzięki, Josh.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W czasie pogrzebu Josh tłumaczył zaczerwienione oczy i zatkały nos przeziębieniem, ale podczas mszy mocno ścisnął dłoń Toni. Ona zaś parę razy zerknęła na niego dyskretnie. Rzeczywiście chyba miał gripę, lecz cierpiał nie tylko fizycznie. Jego żal poważnie Toni zaniepokoił. Przecież Ben był jego pacjentem dość krótko. Owszem, obaj od razu się polubili, lecz śmierć Bena podziałała na Josha bardziej druzgocąco, niż zazwyczaj bywało w takich przypadkach. Czyżby Josh sądził, że nie zrobił dla Bena tyle, ile mógł? A może, podobnie jak ona, czuł na sercu ciężar ich wspólnej tajemnicy?

Janice była wdzięczna, że przyszli na pogrzeb jej syna. Za wszelką cenę starała się panować nad sobą.

- Spędziliśmy przynajmniej trochę czasu razem - rzekła, gdy Josh i Toni składali jej kondolencje. - To przecież mogło się zdarzyć każdego dnia w ciągu tych dziesięciu lat, gdzieś daleko. A po powrocie Ben był taki szczęśliwy.

- Na zawsze zapamiętam ten cudowny śródowny wieczór u was - zapewniła Toni. - Ben rzeczywiście sprawiał wrażenie zadowolonego z życia.

- Powiedział mi, że ta decyzja była dla niego trudna, ale okazała się trafna.

Toni spojrzała na Josha.

- Jaka decyzja, Janice? - spytał oględnym tonem.

Janice przez chwilę miała taką minę, jakby gorączkowo się nad czymś zastanawiała.

- Chyba ta, żeby wrócić do domu - odparła powoli. - Wreszcie zwolnić tempo.

- I wreszcie побыć ze swoją matką. - Toni serdecznie ją uścisnęła. - Tak mi przykro, że to nie trwało dłużej, Janice. O wiele dłużej.

- Może ludzie pokroju Bena po prostu nie mogą się ustatkować. - Po policzkach starszej pani znów potoczyły się łzy. - Rzucają się w wir życia, aż ono w końcu ich wsysa.

W drodze powrotnej do poradni Toni była zatopiona w myślach. Ludzie pokroju Bena. Pokroju Josha. Ileż to razy Josh robił coś niebezpiecznego? W ciągu minionych dziesięciu lat skakał ze spadochronem, nurkował, jeździł na nartach. Prowadził najszybsze, samochody, a ostatnio wspomniał, że chce nauczyć się pilotażu. Czy on także należy do tych, którzy nie potrafią się ustatkować? Może właśnie dlatego jego związki z kobietami są takie gorące, lecz krótkotrwałe? Dlaczego przeraża go wizja bliskości z kimś takim jak Toni?

Nazajutrz Josh był jeszcze bardziej zaziębiony. Bez przerw wycierał nos i wyglądał jak ostatnie nieszczęście, gdy Toni podała mu pudełko chusteczek i paracetamol. A gdy powiedziała o telefonie od weterynarza, był bliski zawału. Okazało się bowiem, że za leczenie kota, po którego nikt się nie zgłosił, wystawiono rachunek w wysokości trzystu dolarów.

- Trzysta dolarów? Założyli mu platynowy gips czy co? Toni uśmiechnęła się, zadowolona z faktu, że Josh żartuje, choć czuje się okropnie. Po pogrzebie Bena oboje nadal byli przygaszeni, a niedawny wypadek Josha stanowił jakby ostrzeżenie, przypominając, jak cenne jest życie. Siniak już zniknął z czoła Josha, lecz jego auto miało spędzić w warszta-

cie jeszcze parę tygodni. Obecnie jeździł dostarczoną przez firmę ubezpieczeniową starą furgonetką. Gruchot nie przypominał żadnej z dotychczasowych rakiet Josha.

- Przynajmniej nie zabiłem tego kota. - Josh westchnął.
- Pomyślałem, że to pewnie czyjś ulubieniec.

- Najwyraźniej nie. - Toni właśnie odbyła długą pogawędkę z pomocnicą weterynarza. - Podobno to słodki mały kiciuś. Ma jakieś cztery miesiące, ale jest niedożywiony. Szczepili go i odrobaczyli, a teraz biedaczek rozpaczliwie potrzebuje domu.

- Chyba nie u mnie. - Josh znów głośno wytarł nos. - Mieszkam na ostatnim piętrze i nie wolno mi trzymać zwierząt. Czemu ty go nie weźmiesz? Jeden więcej to żadna różnica.

- O, nie! Z trudem uczę moje dwa uczciwości. Tylko tego brakuje, żeby miały czeladnika!

- Może Janet chciałaby kiciusia. Chłopcy by się ucieszyli.

- Jest jeszcze Towarzystwo Ochrony Zwierząt. Zadzwoń tam?

- Nie. - Josh ze znużeniem pokręcił głową. - Ja stworzyłem problem, więc chociaż raz ja go rozwiążę. - Uśmiechnął się zuchowato. - Widzisz? Naprawdę się zmieniam.

- Najpierw zjedz lunch. Dzisiaj jest spokojnie i Sandy da sobie radę.

- Jak jej idzie? Nawet z nią nie pogadałem, ale nie chciałem od razu zarazić jej grypą.

- Sandy to skarb. Błyskawicznie się uczy - zapewniła go.

Szkolenie Sandy pozwalało choć na pewien czas zapomnieć o przygnębieniu po pogrzebie Bena. Może troska o bezdomnego kotka podobnie podziała na Josha? W pokoju dla personelu Toni położyła kanapkę obok kubka z kawą dla Josha. Zawsze przepadał za sałatką z kurczaka. Josh natych-

miast zaczął namawiać Janet do wzięcia kota, lecz ona nie miała na to ochoty.

- Chłopcy by go pokochali - przekonywał ją.

- Chłopcy pokochaliby wszystko, co ma futro i cztery łapy, ale marzą o psie.

- Daj im kotka. Spokojnie można zostawić go w domu samego. I utrzymanie kota jest tańsze.

- Jasne. - Oliver uśmiechnął się szeroko. - Jak już się wybuli trzy setki za złamaną łapkę.

- Ten kotek to sierotka - z bezbrzeżnym smutkiem poinformował Janet. - I jest słodki.

- Myślałam, że cię podrapał. - Sophie już zjadła swój lunch i wlepiła pożądlive spojrzenie w babeczkę, za którą zabrał się Josh.

- Był ranny. I przerażony. - Josh nagle napotkał wzrok Toni. - Sam zrobiłbym to samo.

Toni zmarszczyła brwi. Spojrzenie Josha sugerowało, że broni on czegoś więcej niż tylko kota. Co chciał wyrazić? I dlaczego tak ją to zaniepokoiło?

Inni nic nie zauważyli. Oliver i Sophie ze śmiechem słuchali opowieści Janet.

- Po ucieczce królika były złote rybki. Chłopcy wrzucili je do toalety i spuścili wodę. Oczywiście niechcący, jak twierdził Adam. Obaj strasznie się smucili.

- Nie bardziej niż te rybki - mruknął Oliver.

- Później mieliśmy świnkę morską- ponuro ciągnęła Janet. - Pan świnka wabił się Wilburn i chłopcy go uwielbiali.

- I co dalej?- Sophie wzięła z talerza Josha pół babeczki.

- Zostaw, to mój lunch - zaprotestował.

- Tak bardzo kochali Wilburna, że urządzili mu ucztę.

Przez cały ranek układali na talerzu kawałki marchewki i jabłka, trawę i ziarna kukurydzy.

- Jestem głodny - żałośnie poskarżył się Oliver.
- Wilbur też był. Najadł się za wszystkie czasy. Tylko szkoda, że chłopcy udekorowali tę surówkę ślicznymi jaskrami.
- Zjedz moją kanapkę. - Josh przysunął ją do Olivera.
- Jaskry są zabójcze dla świnek morskich - oświadczyła Janet. - Biedny Wilburn nie miał żadnych szans.
- Mogłabyś przerobić jego chałupkę na domek dla kiciusia - zasugerował Josh. - Jest naprawdę malutki.
- Wykluczone. - Janet nie zamierzała się poddać. - Ty uratowałeś mu życie, więc jest twój.
- Przyjechał kurier. - Do pokoju zajrzała Sandy i spojrzała na Toni. - Przywiózł jakieś leki i trzeba pokwitować ich przyjęcie. Mam to zrobić?
- Lepiej ja się tym zajmę, Sandy. Musi wziąć od nas próbki do laboratorium. Sprawdź, czy w pokoju Janet jest plastikowy worek ze świetłówkami.
- Jest - potwierdziła Janet. - Pokażę ci, Sandy. Kładę je obok autoklawu.
- Czego? - Oczy Sandy rozszerzyły się.
- Sterylizator. Wygląda jak piecyk. Zawsze jest też coś do zabrania z lodówki.
- Toni przedstawiła Sandy kurierowi Rossowi.
- Wspaniale, że dostałaś tu pracę - stwierdził Ross. - Jak ci idzie?
- Dopiero zaczęłam. Bardzo mi się tu podoba, ale na razie prawie nic nie umiem.
- Nauczysz się - zapewnił Ross i wesoło uśmiechnął się do Toni. - Wkrótce będziesz mogła oprzeć nogi o biurko. Albo zafundować sobie długie wakacje.
- Na pewno - mruknęła bez przekonania. Pokwitowała odbiór leków i podała torbę z próbkami. - Dzięki, Ross. Do

zobaczenia. - Otworzyła karton z farmaceutykami. - Jest tu trochę narkotyków - poinformowała młodszą koleżankę. - Trzymamy tylko niewielki zapas i zawsze zamykamy go w podłogowym sejfie. Widzisz ten odstający kawałek dywanu?

Sandy entuzjastycznie kiwnęła głową.

- Podnieś go. Podam ci szyfr, który otwiera zamek. Musisz nauczyć się cyfr na pamięć, bo nigdy ich nie zapisujemy.

- Super! - Sandy już klęczała na podłodze. - Nigdy nie włamywałam się do sejfu.

Toni uśmiechnęła się do pełnej zapału dziewczyny. Sandy niedawno skończyła osiemnaście lat, była pogodna i rwała się do roboty. Natychmiast polubiła nową pracę i nie ulegało wątpliwości, że poznawanie jej tajników nie zajmie Sandy dużo czasu. Już pierwszego dnia czuła się tu jak ryba w wodzie.

A na początku następnego tygodnia nie tylko Sandy zrobiono niespodziankę, gdy w porze lunchu ktoś zostawił w recepcji spore pudełko.

- Och, spójrz! - Zdumiona Sandy wyjęła z niego czarnego kotka i pokazała go Toni. - Jaki śliczny! Jest kontuzjowany - stwierdziła na widok łapki w gipsie i wyraźnie się zmarwiła. - Ale my nie leczymy zwierzaków, prawda?

- Na ogół nie. - Toni delikatnie pogłaskała jedwabisty łebek. Kiciuś otarł się o jej dłoń i zaczął głośno mruczeć.

- Doktor Cooper chyba będzie coś wiedział o tym pacjencie.

- Wzięła od Sandy czarne maleństwo i pomaszerowała z nim do kuchni, gdzie Josh nadal pił kawę, gawędząc z Oliverem.

- Ty prosiłeś, żeby go tu przywieziono? - Kociak usiłował stanąć w objęciach Toni, aby potrzeć łebkiem o jej policzek. Mruczał przy tym tak zawzięcie, że parsknęła śmiechem.

- Nie mogłem go wysłać do schroniska - mruknął Josh.
- Jeszcze by go uśpili.

- Szkoda byłoby trzystu dolców. - Oliver uśmiechał się od ucha do ucha.

- Właśnie. - Josh przyjrzał się kociakowi. - Rzeczywiście milutki, co?

- Myślałam, że nie wolno ci trzymać zwierząt w domu.

- Nie wolno. - Josh odchrząknął. - Hej, Sandy, chcesz tego kiciusia?

- Chętnie bym go wzięła, ale moja mama ma astmę. Josh trochę się zafrasował.

- Chwilowo zostanie tutaj - oświadczył po chwili zastanowienia. - A nuż jakiś pacjent się zlituje i go weźmie?

- Mógłby tu zamieszkać - zaproponowała Sandy. - Wystarczy zrobić mu legowisko i dać pudło z piaskiem.

- Nie ma mowy - zaprotestował Josh. - Na pewno zabraniają tego jakieś przepisy.

- A gdyby zrobić w drzwiach takie kłapy, żeby wychodził? - Sandy nie dawała za wygraną.

- Nauczylibyśmy go trzymać się z daleka od pokoju zabiegowego - dodała Toni. - Moim zdaniem to świetny pomysł. To poradnia rodzinna, a nie szpital. W wielu domach opieki są koty. A ten maluch jest taki miły. Byłby zachwycony atmosferą w poczekalni.

- Obecność zwierzątek ma działanie terapeutyczne. - Oliverowi wyraźnie spodobała się sugestia Toni. - Zaobserwowalibyśmy, czy zmniejszyła się liczba skarg z powodu długiego czekania na wizytę.

Toni podeszła do Josha i położyła mu kota na kolanach.

- Ty uratowałeś mu życie, więc to twój obowiązek.

Oliver patrzył na niego rozbawiony, Sandy miała błagalną minę, a Toni zaczęło dławić w gardle, gdy twarz Josha zła-

godniała, a jego dłoń leciutko połaskotała kotka pod brodą. Rozległo się rozkoszne mruczenie.

- Wydaje takie dźwięki jak motorek do łodzi - ze śmiechem stwierdził Oliver.

- Motorek! - zawołała Sandy. - Fantastyczne imię! Możemy go zatrzymać, doktorze Cooper? Prosimy!

Josh westchnął.

- Chyba tak - odparł zrezygowany. - Na razie. Ty będziesz się nim opiekować, Sandy. I pilnuj, żeby nie broił.

- Znajdę mu pudełko i stary ręcznik do spania. A wracając z banku, kupię trochę jedzenia. - Sandy chwyciła kota na rękę. - Chodź, Motorek.

- Najpierw pudło z piaskiem. Zostaw go tutaj - poleciła Toni. - A teraz wracajmy do recepcji. Robota czeka.

Motorek natychmiast zadomowił się na zapleczu i prawie cały czas słodko drzemał, jeśli ktoś się z nim nie bawił. Toni zazdrościła mu tego świętego spokoju, bowiem szkolenie asystentki okazało się bardziej męczące, niż oczekiwała. Należało bezustannie sprawdzać wszystkie wpisy i często je poprawiać, ponieważ Sandy wciąż jeszcze się myliła.

- Właśnie dlatego najlepiej zapisywać wszystko ołówkiem - wyjaśniła Toni. - Można zetrzeć gumką i notatki są czytelne.

- Przepraszam za tę sprawę z panią Harrison. - Sandy uśmiechnęła się skruszona. - Nie powiedziała, że to coś pilnego, a lekarze nie mieli żadnego okienka.

- Nagłe przypadki zawsze trzeba jakoś wcisnąć. - Toni poklepała dziewczynę po ręce. - Nie martw się. Przecież nie znasz pani Harrison. Ona nigdy nie narzeka, lecz jeśli już dzwoni, to znaczy, że naprawdę źle się czuje. Ma ponad czterdzieści lat i cierpi na niewydolność serca, ale pro-

wadzi aktywny tryb życia i nie lubi bez potrzeby zawracać głowy.

Po chwili Toni musiała zmienić kolejny zapis.

- Zadzwoń jeszcze raz do Johna Drumronda, Sandy, i zawiadom go, że wizyta będzie dwa razy dłuższa niż normalnie, bo musi przejść drobny zabieg chirurgiczny. Na ogół wykonujemy je w czwartek lub w piątek rano.

- Rozumiem. Numer telefonu tego pana jest w komputerze?

- Tak. Spróbuj sama znaleźć.

Sandy wykonała zadanie i od razu poweselała.

- Zapisałam go na przyszły piątek na półgodzinną wizytę.

- Wspaniale.

- Czemu te środowe godziny są podzielone kreską?

- To dyżury Sophie. Właśnie kończy praktykę lekarską i w środy po południu ma zajęcia w szpitalu, a w czwartki wykłady, więc daliśmy jej trochę luzu. W październiku zdaje końcowe egzaminy.

- A wizyty domowe? Też trzeba na nie przeznaczać pół godziny?

- Przynajmniej. Poza tym ograniczamy ich liczbę do minimum i mamy swój rejon. Widzisz ten okrąg na mapie?

- Toni wskazała wiszący na ścianie plan Christchurch.

- Skąd mogę wiedzieć, do kogo rzeczywiście trzeba pojechać?

- Zawsze do pacjentów z domów opieki. Oraz do nieuleczalnie chorych, którzy są u nas zarejestrowani. Wkrótce poznasz ich nazwiska. W razie jakichkolwiek wątpliwości zawsze mnie pytaj. Niektórzy ludzie są bardzo wymagający, a wizyty domowe już nie należą do standardowych obowiązków internisty.

- Nigdy ci nie dorównam, Toni. Ty wiesz tak dużo.

- Miałam mnóstwo czasu, aby się nauczyć. - Toni uśmiechnęła się kwaśno. - Zobaczysz, wkrótce będziesz mieć to wszystko w jednym palcu.

Nie pomyliła się. W następnym tygodniu Sandy przejęła dużo czasochłonnych zadań. Witwała pacjentów, przyjmowała pieniądze, dokonywała wpłat w banku, a nawet poznała gusty koleżanek i kolegów i przynosiła im lunch z pobliskiej piekarni.

Josh wyleczył się z grypy i wyglądał lepiej, lecz nadal jadał mało, był blady i jakby przygaszony. Toni zastanawiała się, czy ma to jakiś związek z dwoma długimi wizytami Janice Reynolds. Wiedziała, że Janice w końcu przekonała Josha, aby przepisał jej leki antydepresyjne.

- Potrzebuję tego, żeby jakoś przetrwać najbliższy miesiąc lub dwa - tłumaczyła się. - Później stanę na nogi.

- Nie wątpię - zapewniła ją Toni. - To wymaga czasu. Josh miał podobne zdanie.

- Dałem jej skierowanie do psychologa. Nie umiem pomagać w takich sytuacjach.

- Nieprawda - zaprotestowała Toni. - Okazujesz ludziom wiele serca. Rozumiesz ich.

- Aż za dobrze. W tym cały problem. - Josh skubał folię, w którą owinięta była kanapka, po czym ją odsunął. - Ci, którzy zostają, bardzo cierpią. Szczęście, że nie mam żadnej rodziny. Zwłaszcza żony lub dzieci. Wyobraź sobie, ile osób by cierpiało, gdyby Ben z kimś się związał? - Josh posłał Toni dziwny uśmiezek. - Gdybym ja wyciągnął kopyta, nikt nie byłby szczególnie zdruzgotany.

- Cóż za okropne podejście, Josh!

- Dlaczego?

- To skrajny egoizm.

- Egoizm? Nie sądzisz, że samotność Bena była raczej

dowodem altruizmu? Chciał oszczędzić matce cierpień. Może nawet był w kimś zakochany, ale nie zdecydował się na małżeństwo, aby jego żona nie miała powodów do rozpacz.

- Gdyby ona też go kochała, byłoby to z jego strony okrucieństwem.

- Większym okrucieństwem byłoby ofiarować tej kobiecie coś bez przyszłości.

- Nie zgadzam się z tobą, Josh. Zakochana kobieta cierpiałaby bardziej, sądząc, że on nie wie o jej uczuciach lub ich nie odwzajemnia. - Toni westchnęła. - Moim zdaniem Ben niepotrzebnie zrezygnował z miłości. Wmawiał sobie, że całymi garściami czerpie z życia to, co najlepsze, ale w rzeczywistości właśnie tego nie zaznał.

Josh miał taką minę, jakby analizował tę opinię. Ale w jego spojrzeniu malowało się tyle udręki, że Toni obserwowała go z rosnącym niepokojem. Przecież prowadzili tylko teoretyczną dyskusję. A może nie? Dlaczego przypadek Bena przygnębił Josha tak bardzo? Nigdy nie był taki ponury jak ostatnio. I prawie nic nie jadł. Toni znów zerknęła na kanapkę.

- Od pewnego czasu żyjesz tylko czarną kawą, Josh. To niezdrowo.

Spodziewała się, że ją ofuknie. Nawet ucieszyłaby się z kąśliwej uwagi, oznaczałaby ona bowiem, że wszystko wraca do normy. Ale na widok smętnego uśmiechu Josha oniemiała. Spojrzała na jego dłoń, którą głaskał kota. Może to obecność tego małego kociaka tak rozstrajała Josha?

- Nie znoszę gotowania - oświadczył, a Toni na moment zapomniała o niedawnym wrażeniu. - Najbardziej odpowiada mi uważne studiowanie karty dań. Sama konsumpcja też bywa interesująca. Ale stanie przy kuchni trwa za długo. Jest śmiertelnie nudne.

Na jego twarzy pojawił się wyraz takiego obrzydzenia, że Toni parsknęła śmiechem.

- Nie słyszałeś, że dążenie to połowa przyjemności?
- Owszem. Ale nigdy w to nie wierzyłem.
- Od wesela Spencerów nie rezerwowałam dla ciebie stolika w restauracji. To ponad miesiąc.
- Już nie chodzę do restauracji.
- Więc co jadasz?
- Co mi wpadnie w rękę- odparł, wzruszając ramionami.
- Zupę z puszki. Fasolkę po bretońsku. Takie beznadziejstwo, że nie warto pamiętać.

- Nic dziwnego, że tak długo trzyma cię ta grypa. Poza tym chudniesz. - Oparta brodę na dłoni i spojrzała na niego surowo. - Wpadnij dzisiaj do mnie. O siódmej.

- Zapraszasz mnie na obiadek?
- Nie - odparła. - Na lekcję gotowania. Uznaj to za nową atrakcję. Może nawet stwierdzisz, że coś smakuje lepiej, jeśli zainwestujesz w to trochę czasu.

Cóż ona najlepszego zrobiła?

Wlepiła wzrok w kuśtykającego Motorka, którego Josh delikatnie zdjął z kolan. Schyliła się i na moment wzięła kociaka w ramiona, a on poruszył czarnym łebkiem i zamruczał. Jego obecność w poradni wprawiała wszystkich w zachwyty. Pacjenci uwielbiali, gdy pojawiał się w poczekalni. Dzieci dużo chętniej szły na badanie, a starsi, samotni pacjenci uśmiechali się radośnie, mogąc pogłaskać miłe zwierzątko. Dzięki kociakowi zapanowała w St. David's ciepła, domowa atmosfera, a w tej chwili Toni też bardzo potrzebowała czegoś kojącego. Czy rzeczywiście zaprosiła Josha na kolację?

Gdy przyjął zaproszenie, wpadła prawie w euforię. Ale radość trwała krótko. Zastąpiło ją uczucie, którego Toni nig-

dy nie doświadczała w kontaktach z Joshem. Po namyśle uznała, że to strach. Lub przynajmniej zdenerwowanie.

Później chwilowo o niej zapomniała, bo popołudnie okazało się pracowite, a Sandy popełniła kilka pomyłek, które należało skorygować. Ale robiąc zakupy w supermarkecie, Toni znów poczuła przyływ paniki. Dlatego bez zastanowienia wrzucała do wózka różne produkty delikatesowe, a przy kasie oniemiała z wrażenia, gdy usłyszała, ile ma zapłacić.

Natomiast po powrocie do domu natychmiast zaczęła się martwić, czy jej dom wygląda odpowiednio. Josh odwiedzał ją tylko w celu zbadania jej matki i nie był tu od czterech lat. W tym czasie Toni dokonała wielkich zmian - zniknęły stare meble i ozdobne drobiazgi. Co Josh pomyśli o kolorystyce, którą zastosowała po wieczorowym kursie projektowania wnętrz? Co powie na kanarkowożółte ściany i granatowe szafki w kuchni? Na indiańskie wzory zasłon, rudawe kanapy i zielone ściany w saloniku?

Pośpiesznie położyła zakupy na dużym stole w kuchni i rozpałała ogień w kominku, ignorując żalostne miauczenie Bessie. Boże, na śmierć zapomniała kupić wino! A Josh je uwielbia. Do tego, co stało w głębi spiżarni, lepiej nawet się nie przyznawać. Czemu nigdy nie pomyślała o tym, by iść na kurs dla przyszłych koneserów win?

Na szczęście lubiła gotować. Na pewno zdoła przygotować coś zaspokajającego nawet wybrednego Josha. A gdyby pomógł jej w pichcieniu, miałyby wymówkę w przypadku niepowodzenia.

Krzętała się coraz bardziej nerwowo. Nigdy nie zapraszała Josha na kolację, ponieważ instynktownie przeczuwała, że by odmówił. Spodziewałby się bowiem, że Toni pragnie nie tylko zjeść z nim posiłek. Dlaczego więc dziś się zgodził? I czemu ona w ogóle go zaprosiła?

Ponieważ coś się między nimi zmieniło. Josh zaczął potrzebować czegoś, co tylko Toni może mu ofiarować. Nie wiedziała, co to takiego, lecz musi się dowiedzieć.

- Przyniosłem wino.
- Różowy szampan! - Spojrzała zdumiona na butelkę.
- Mam taki sam, ale nie przypuszczałam, że raczyłbyś go wypić.
- Moi rodzice zawsze otwierali butelkę różowego szampana z ważnych okazji. Lubię go. W dzieciństwie dostawałem mały łyżeczek i czułem się jak ważniak. - Josh spojrzał na trunek z sympatią i poszedł za Toni do kuchni. - Zmieniłaś wystrój.
- Chyba trochę za bardzo. Dałam się ponieść.
- Pięknie tu. - Rozejrzył się wokół. - Tak jasno i przytulnie. Naprawdę po domowemu.
- To prawda - przyznała. - Mieszkam tu od tak dawna, że nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Po śmierci taty mama przeprowadziła się tutaj. Miałam wtedy trzy lata. Dom jest mały, ale stoi w wielkim ogrodzie. Spędzam tam większość wolnego czasu. - Sięgnęła po butelkę. - Otworzyć?
- Pozwól, że ja to zrobię. - Zdjął metalową folię. - Coś takiego! Plastikowy korek!
- Toni parsknęła śmiechem.
- Może znajdę plastikowe kieliszki.
- Sos chrzanowy i camembert? - Josh błędził wzrokiem po stosie zakupów. - Co będziemy pitrasić?
- Kurczaka i serowe paszteciki z truskawkowym sosem -oznajmiła bez wahania. - Znam przepis z kursu, na który chodziłam w zeszłym roku.
- Świetnie. - Josh skupił uwagę na nalewaniu wina.

- Nie jesteś zachwycony? Powinnaś być kupić jakąś dziczyznę lub porządny befszytk?
- Ależ skąd! - Wręczył jej kieliszek pełen różowego wina. Z przyjemnością wsłuchała się w delikatny szmer bąbelków.
- Może wolałbyś inną potrawę? Powiedz szczerze, Josh. Spizarnia i lodówka pękają w szwach.
- Zamierzam być dzisiaj stuprocentowo szczerzy - odparł, patrząc jej w oczy. - Wiesz, na co miałbym ochotę? Co pasowałoby mi do tego? - Uniósł kieliszek. - Coś konkretnego. Takie jedzenie, które budzi miłe wspomnienia. Wielka porcja wszystkiego, co można usmażyć - oświadczył dramatycznie.
- Po pierwsze: jajka na bekonie.
- I kielbaski?
- I podsmażane ziemniaki starte na grubej tarce. Plus francuskie grzanki.
- Mam pieczarki - radośnie oznajmiła Toni. - Udujemy je, a obok możemy położyć pomidora i udawać, że całość jest zdrowa.
- Ale nie musimy go zjeść. Chyba że naprawdę zechcemy.
- Fantastyczny pomysł. Od dzieciństwa nie jadłam podsmażanych ziemniaków.
- Ja też. No to bierzmy się do roboty.
- Zaczynaj obierać ziemniaki. Ja wyjmę bekon i kielbaski.
- Usmażymy je na maśle - rozmarzył się Josh. - Koniec z tą zdrową oliwą.
- Oczywiście - ochoczo zgodziła się Toni. - Wpakujemy w to tyle tłuszczu, ile się da. Życie jest zbyt krótkie, żeby martwić się cholesterolem.
- Wiedziałem, że ty najlepiej mnie zrozumiesz. Właśnie dlatego cię kocham. Gdzie tarka?

Toni stała jakby przygwożdżona do miejsca.

- O co chodzi? - Odłożył ziemniaka na blat. - Co takiego powiedziałem?

- Że mnie kochasz - odparła cicho.

- Bo tak jest.

Stwierdziła, że Josh nagle jakby odmłodził. Wyglądał tak chłopięco i... bezbrinnie. A na jego twarzy malował się bezbrzeżny smutek.

- Kocham cię, Toni. Chyba od zawsze.

Poczuła wzbierające w sercu wzruszenie. Było jej trudno oddychać i jeszcze trudniej mówić.

- Ja też cię kocham, Josh.

- Wiem.

Jego głos też był przepojony smutkiem. Nie mogła zrozumieć dlaczego. Musi sprawić, aby ten smutek zniknął. Z wahaniem wyciągnęła rękę. Pragnęła dotknąć twarzy Josha, przyciągnąć do siebie jego głowę, by sięgnąć wargami do jego ust. Ale on chwycił jej dłoń, przycisnął do swego policzka i przytulił usta do jej wnętrza. Zamknął oczy, a Toni bez tchu czekała, aż je otworzy. Chciała zobaczyć, czy nadal będą patrzyły tak żałośnie. Okazało się, że Josh zdobył się na błądy uśmiech.

- Umieram z głodu - mruknął. - Jak się robi francuskie grzanki?

- Potrzebne są jajka. Chleb i mleko. - Toni usiłowała się skupić. - I patelnia. - Czy Josh przypadkiem nie mówił wyłącznie o przyjaźni? Może dawał do zrozumienia, że tylko to ich łączy i nigdy nie zmieni się w głębsze uczucie? - Najpierw usmażymy bekon i kielbaski. Potem włożymy je do piecyka, żeby nie wystygły.

- Dobrze. - Josh lekko ścisnął jej palce, zanim puścił dłoń. - Ale najpierw nalej nam jeszcze trochę tych bąbelków.

Kolacja była nieprzyswoicie pyszna. Zjedli ją przed kominem, siedząc na podłodze i trzymając talerze na kolanach. Od czasu do czasu odsuwali nachalną parę kotów, które miały wielką ochotę uszczknąć coś z tak apetycznie pachnących potraw. Josh dawno rzucił na kanapę marynarę i krawat, podwinął rękawy koszuli i zdjął buty.

Zjedli palcami kruche paseczki bekonu, kawałkami smażonego chleba wytarli żółtka jajek i zignorowali pomidory.

- To było niebo w gębie - stwierdził, patrząc na uśmiechniętą Toni.

- Biedny skazaniec dostał suty posiłek - oświadczyła. Postawił talerz na podłodze, a Bessie obwąchała kawałek pomidora i wzdurliwie fuknęła. Spojrzała na Josha złośliwie, lecz on patrzył na Toni.

- Na co jestem skazany? - spytał lekkim tonem, lecz z jego oczu nie sposób było cokolwiek wyczytać.

- Na zmywanie. - Toni wręczyła mu swój talerz.

Josh postawił go na swoim, a Bessie natychmiast porwała kawałek kiełbasy i umknęła z pokoju. Bertie deptał jej po piętach.

- Ten kiciuś wie, czego chce. - Parsknęła śmiechem. - Nie mam serca go gonić. - Sięgnęła po polano i wrzuciła je do ognia.

- Ja też wiem, czego chcę.

Żar tych słów przyprawił Toni o słodki dreszcz. Odwróciła się i zobaczyła, że Josh klęczy obok niej. Dotknął jej policzka - podobnie jak przedtem zrobiła ona. Teraz zapragnęła musnąć ustami wewnątrz dłoni Josha i z zamkniętymi oczami rozkoszować się tym doznaniem. Lecz zamiast dłoni napotkała wargi i odpowiedziała na ich pieśczętę. Z radością wsunęła palce we włosy Josha i przysunęła się, gdy zacisnął dłonie na jej ramionach.

Aż do tej pory nie miała pojęcia, że dotyk mężczyzny może podziałać tak podniecająco. Od lat zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jej skóra jest wrażliwa na bliskość Josha lub przelotne muśnięcie jego ręki. Uświadamiała sobie również istnienie innych doznań, które czasem się odzywały, lecz zawsze je tłumiała, aby uniknąć niepotrzebnej frustracji. Ale teraz.

Bezwiednie wstrzymała oddech, gdy wargi Josha kilka razy ucałowały pulsujące miejsce u nasady szyi. Dłonie Josha błędziły po jej plecach, a gdy mocno przygarnął ją do siebie, poczuła wyraźny, namacalny dowód jego pożądania. Jęknęła, zniecierpliwiona barierą odzieży, która nadal ich dzieliła. Dłonie Josha znieruchomiały.

- Toni? - Jego głos zabrzmiał głucho. - Jeśli chcesz, żebym przestał, powiedz mi teraz, bo później...

Uciszyła go przykładając palce do jego ust.

- Nie chcę, żebyś przestał - szepnęła.

Zaczęła rozpinąć koszulę Josha, a jego palce spoczęły na guzikach jedwabnej bluzki. Rozbierali się powoli, patrząc sobie w oczy, z zachwytem odkrywali kształt swoich ciał, po czym Josh zgasił lampę. Teraz byli skąpani tylko w blasku migotliwych płomieni płonącego na kominku ognia.

Nagle Josh się odsunął i sięgnął do kieszeni marynarki. Toni na moment zrobiło się przykro, że ją zostawił, lecz zaraz zrozumiała, że Josh szuka zabezpieczenia. Oczywiście. Ktoś prowadzący jego styl życia bywa zawsze przygotowany. Pewnie powinna poczuć się urażona tym, że spodziewał się takiego rozwoju sytuacji, ale teraz jej to nie obchodziło. Jest z Joshem i tylko to się liczy. Nic więcej.

Nowe pieszczoty jeszcze bardziej rozpały ich pożądanie. Gdy oboje dotarli na sam szczyt, Toni z jękiem wyprężyła się w objęciach Josha, ledwie słysząc, jak on niemal rozpa-

czliwie szepcze jej imię. Nie przypuszczała, że istnieje taka rozkosz, takie cudowne poczucie przynależności, jakie ją ogarnęło. Zupełnie jakby po długiej podróży w końcu dotarła do ukochanego domu. Do jedyne go miejsca na świecie, gdzie chciała być.

Lecz teraz, gdy ramiona Josha zacisnęły się mocniej, a jego ciało zdrząło w chwili spełnienia, poczuła błogość, o jakiej nigdy nawet nie marzyła. A Josh znów zaczął ją całować. Słodko. Czule. Ujął w dłonie jej twarz i coś zamruczał.

- Dziękuję, Toni. Tak bardzo ci dziękuję. Wiedziałem, że gdzieś istnieje prawdziwa doskonałość, ale nigdy nie doświadczyłbym jej bez ciebie.

Nadal czuła przyspieszone bicie jego serca i ciepło ich przytulonych do siebie ciał. I omal nie krzyknęła, gdy Josh powoli się z niej wysunął. Odniosła bowiem wrażenie, że traci nie tylko intymny kontakt, lecz dużo więcej, choć nie rozumiała dlaczego. Przecież ta intymność z pewnością stanowi początek czegoś wspaniałego. Skąd więc to dziwne przeczucie, że jest to również koniec?

- Kocham cię, Josh - powiedziała, pragnąc zatrzymać to, co razem przeżyli.

- Wiem. - Jego głos zabrzmiał łagodnie. - Ja też cię kocham. I właśnie dzięki tobie wiem także, co to naprawdę oznacza. Dziękuję.

- Przestań to powtarzać - jęknęła błagalnie. - Mówisz tak, jakbym to tylko ja coś ci ofiarowała.

- Może dałaś mi więcej, niż ci się zdaje. Dostałem od ciebie chwilę doskonałości. Taką, w której przeszłość nie ma znaczenia, a przyszłość nie istnieje. W której człowiek wreszcie pojmuje, czym jest prawdziwa miłość. Czym mógłby być prawdziwy związek. Dałaś mi najwspanialszy prezent,

jakiego nigdy się nie spodziewałem dostać. Pamiętaj, że zna-
czy on dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie.

I mam... mam nadzieję, że kiedyś mi wybacysz.

- Nie mam ci co wybacząć, Josh. - Poczula przyływ
niezrozumiałego niepokoju. - Nie obchodzi mnie przeszłość.

Liczy się tylko przyszłość. Nigdy nie jest za późno, aby
zacząć wszystko od nowa.

- Właśnie. - Wpatrywał się w nią dziwnie sugestywnie.

- Nie zapominaj o tym, moja droga. Choćby nie wiem co.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nigdy nie jest za późno, aby zacząć wszystko od nowa.

A o takim początku Toni nawet nie marzyła. Ona i Josh odnaleźli siebie. Po tylu latach są razem. Nie miała takiego doświadczenia jak Josh, lecz intuicyjnie czuła, że ich związek jest naprawdę wartościowy.

Taki jak Olivera i Sophie. Może nawet lepszy. Toni była pewna, że tylko ona i Josh odkryli miłość idealną. To wspa-
niałe uczucie mogło zapoczątkować związek na całe życie.
„Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Toni przepełniało poczucie szczęścia. Ale dawały o sobie znać także nerwy. Jak zachowa się Josh, gdy dziś się zobaczą? A jak ona powinna go powitać? Czy to, że są razem, natychmiast zauważą ich koledzy? Josh nie wspomniał o ślubie. Wszyscy dobrze wiedzieli o jego słynnej awersji do małżeństwa. Zmiana tego podejścia może być dla niego zbyt kłopotliwa, aby się na nią zdecydować. Toni mogłaby to zaakceptować. Co prawda czasem marzyła o tym, że w białej sukni płynie w stronę ołtarza, gdzie czeka na nią Josh, lecz w końcu to tylko ceremonia, nic więcej. Dużo bardziej liczy się późniejsze życie we dwoje. Ta nierozzerwalna więź. Oboje mogli ją mieć bez ślubu. Już ją mają.

Rano długo przeglądała zawartość szafy, niezdecydowana, w co się ubrać. Wyjmowała kolejno różne ciuszki, ale nie wydawało się odpowiednie. A przecież ten dzień oznaczał nowy początek i strój powinien to podkreślić. Tyle tylko, że

dziś wszystko wydawało się jej za mało atrakcyjne, a chłodna pogoda wykluczała włożenie barwnej, letniej sukienki. Po niebie sunęły kłębiaste chmury o groźnych, ciemnych obwódkach, skutecznie zasłaniając nieliczne prześwity błękitnego nieba.

W końcu włożyła czarną, kloszową spódniczkę, białą bluzkę, swój ulubiony sweterek z czerwonego moheru i długie, czarne botki, których obcasy dodawały kilka centymetrów wzrostu. Zostawiła też rozpuszczone włosy, zadowolona z ładnych fal na ramionach, i starannie zrobiła makijaż.

Jej oczy lśniły dziś jak gwiazdy. Czyżby dlatego, że jest taka podekscytowana? A może jeszcze nie przywykła do tego, że nie patrzy na swoje odbicie przez grube szkła okularów? Josh miał rację. Tęczówki rzeczywiście były upstrzone złotymi plamkami i wyglądały jak whisky w blasku słońca. Po raz pierwszy w życiu Toni poczuła się piękna. Godna pożądanía. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w pracy.

W poradni pośpiesznie włączyła ogrzewanie i wzięła na ręce Motorka, który sypiał zamknięty na zapleczu. Kociak przytulił się do niej i wczepił pazurkami w miękkie, czerwony moher. Był zdumiewająco przyjaznym zwierzątkiem i uwielbiał towarzystwo.

Teraz polizał Toni w palec maleńkim języczkiem, a ona potarła brodą czarny, jedwabisty łebek. Motorek zamruczał radośnie. W tej samej chwili o szybę zabębnił grad i Toni spojrzała w okno. Na parking właśnie wjechał samochód Spencerów. Sophie wysiadła pierwsza i skrzywiła się, zdegustowana chłodem. Wrzesień potrafił zafundować cały wachlarz różności. Po kuszącej obietnicy wiosny w sierpniu, później czasem pojawiały się przymrozki i ulewne deszcze. Sophie rozcierała ramiona i przytupywała, czekając, aż Oliver zamknie auto. Z ust obojga wydobywały się obłoczki

pary. Młodzi małżonkowie ruszyli do wejścia przytuleni, śmiejąc się wesoło.

Takie scenki zazwyczaj przypominały Toni boleśnie o jej samotności. Ale dziś tak się nie stało. Pocałowała Motorka w łebek i pomyślała, że już nie jest samotna. Już nie ma powodów, by komuś zazdrościć miłosnej więzi. Ma własną, najwspanialszą na świecie. Z uśmiechem napełniła elektryczny czajnik wodą i włączyła go.

- Jesteś aniołem, Toni. - Oliver serdecznie cmoknął ją w policzek. - Wszędzie ciepłutko, i nawet kawa gotowa.

Gdybym nie był żonaty, nie zdołałbym ci się oprzeć.

- Śliczny sweterek, Toni - pochwaliła Sophie. - Kolor wprost idealny na taki dzień. Strasznie zimno, prawda?

- Okropnie - wesoło przyznała Toni.

Nalewając kawę przyjaciółom, nie zauważyła przyjazdu Joshua. Ale gdy wszedł do środka, westchnęła z zachwytem. Sophie też.

- Josh! - zawołała Sophie. - Gdzie znalazłeś coś takiego?

Josh trzymał ogromne naręcze wiosennych kwiatów: żonkili, tulipanów i frezji. Ich oszałamiający zapach wymieszał się z aromatem kawy i wkrótce go zagłuszył.

- Całe ich wiadra stały przed mleczarnią. Kupiłem wszystkie. - Josh spojrzał na Toni. - W taką okropną pogodę przyda się nam małe przypomnienie, że nadal jest kalendrzowa wiosna.

- Cudowne! - Sophie wtuliła nos w kolorowy bukiet. - Człowiek od razu widzi barszkuje jagniątko, kaczątko i żrebaki.

- Ty znowu swoje! - jęknął Oliver. - Tylko dzieci ci w głowie.

- Dobra pora, żeby pomyśleć o dzieciach - radośnie stwierdził Josh.

Toni oniemiała. Czyżby Josh też myślał o dzieciach? Wczoraj pamiętał o zabezpieczeniu, lecz od dziś może inaczej widzi swoją przyszłość? Ich wspólną przyszłość?

- Oczywiście - przyznała cicho, uśmiechając się do niego. - Przecież jest wiosna. Nowy początek.

- Umieścimy kwiaty na twoim biurku,. Toni - zaproponował Josh. - Żebyśmy wszyscy mogli się nimi cieszyć.

Toni skinęła głową. Wszyscy będą podziwiać kwiaty, lecz znajdują się one właśnie na jej biurku... To wiele znaczy. Postawiła kotka na ziemi, a on natychmiast wskoczył Sophie na kolana. Biorąc bukiet, Toni poczuła muśnięcie dłoni Joshua, a spojrzenie jego oczu podziało jak dodatkowa pieśczoła.

- Wyglądasz oszalamiająco w czerwonym - mruknął.

- Dzięki.

Toni zerknęła na Olivera i Sophie. Chyba zauważyli, że między nią a Joshem coś iskrzy? Ale Spencerowie byli zajęci wyłącznie sobą. Janet przyszła akurat wtedy, gdy Toni ustawiła bukiet na blacie.

- Ależ piękne te kwiaty! - Janet zdjęła rękawiczki, lecz zostawiła na głowie czapkę. - To ostatnia rzecz, jaką spodziewałabym się tu zobaczyć. Chyba zacznie padać śnieg.

- We wrześnieu? Wątpię. - Toni była optymistką.

- Zdarzają się dziwniejsze rzeczy - mruknął Josh, wchodząc do recepcji. - Ładnie - dodał cicho na widok kwiatowej kompozycji.

- Wiem, że posypie śnieg. - Janet ściągnęła czapkę i spróbowała przyglądać niesforne loki. - Spędziłam niejedną zimę w Szkocji i umiem przewidzieć zmiany pogody. Chłopcy oszaleją z zachwyty, jeśli zrobi się biało.

- A właśnie! - Josh pstryknął palcami. - Nie zamierzałaś przypadkiem kupić im na urodziny komputera?

- Chciałabym - w głosie Janet zabrzmiało rozmarzenie

- ale ich urodziny są już za dwa miesiące, więc może będzie mnie stać tylko na Nintendo. Komputery kosztują majątek.

- Nie zawsze - lekkim tonem rzucił Josh. - Chyba nie-
długo pozbędę się swojego. Może chłopcom by się spodobał.

- Już ci nie odpowiada? - ze zdziwieniem spytała Toni.

- Nie ma nawet roku.

- W sklepach jest nowy model Pentium. - Josh wlepił wzrok w książkę zapisów. - Po roku komputer staje się dinozaurem. Ale dla twoich bliźniaków, Janet, jeszcze by się nadawał.

- Chyba byłby dla mnie za drogi - odparła niepewnie.

- Chciałem dać im go w prezencie. Jeśli się zgodzisz.

Na twarzy Janet odmalowały się sprzeczne emocje. Toni wiedziała, z jakim trudem Janet wiąże koniec z końcem.

Nie

zarabiała dużo, lecz nigdy się nie skarżyła.

- Nie, Josh - powiedziała łagodnie. - I tak tyle dla nas robisz! Ale może kupiłabym go od ciebie.

- Dobrze. - Josh skinął głową, jakby szczegóły nie miały żadnego znaczenia. - Jakoś się dogadamy. Najważniejsze, żeby prezent był na czas. Adam i Rory to bystre dzieciaki. Powinny mieć szansę uczyć się w nowoczesny sposób.

- Dzięki, Josh. Jesteś kochany. - Janet uśmiechnęła się do niego ciepło. - Bliźniaki rzeczywiście są bystre. Nie wiem, dlaczego nie idzie im w szkole. Nauczycielka chce posłać ich na dodatkowe lekcje czytania.

- Dadzą sobie radę - zapewnił Josh.

Toni włączyła telefony i jeden natychmiast się rozdzwonił. Josh przez chwilę słuchał rozmowy i dotknął ramienia Toni.

- Zapisz pana Collinsa do mnie - powiedział. - Daj mu pierwszy numer.

- Dobrze słyszałam? - Janet kręcąc ze zdziwieniem gło-

wą, odprowadziła Josha wzrokiem. - Josh z własnej woli chce przyjąć pana Collinsa?

- Cuda się zdarzają. - Toni uśmiechnęła się szeroko. - Doktor Cooper chyba się zmienia. Świątuje wiosnę. To on przyniósł te kwiaty.

- Hm. - Janet zmarszczyła brwi. - Pewnie ma nową dziewczynę.

- Pewnie tak - zgodziła się Toni. - Oby pan Collins docenił zainteresowanie.

Pan Collins przyszedł punktualnie o dziewiątej piętnaście, bardzo zadowolony z godziny wizyty. A gdy dwadzieścia minut później wyszedł z gabinetu, był wręcz w siódmym niebie.

Musisz załatwić mi parę badań w szpitalu, dziewczyno - oświadczył Toni i rozejrzał się, aby sprawdzić, czy wszyscy go słyszą. - Trzeba mi zrobić EKG, badanie holterowskie, test wysiłkowy, echo serca i... - stanął na palcach z podniecenia - może nawet badanie w zakładzie medycyny nuklearnej!

- O rany! - Toni zrobiła stosowną minę. - To brzmi poważnie.

Pan Collins dostojnie skinął głową.

- Doktor Cooper i ja sądzimy, że to wszystko jest niezbędne. - Starszy pan stuknął palcem w telefon. - Możesz stąd połączyć się z oddziałem kardiologii, moja droga?

- Zobaczą, co da się zrobić, panie Collins. - Toni jakimś cudem udało się nie roześmiać.

Na dworze jeszcze bardziej się ochłodziło. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, lodowaty podmuch przypominał Toni o niemiłej pogodzie. Ale w poradni panowała ciepła atmosfera. Wszyscy zachwycali się kwiatami i włączonym ogrzewaniem oraz cieszyli z obecności kota. Tego dnia

jakoś nikt nie narzekał na konieczność dłuższego niż zwykle oczekiwania na wizytę. Toni uśmiechnęła się do młodej matki, która karmiła piersią niemowlę. Scenę tę chłonęła wzrokiem ciężarna kobieta, ubrana w zdumiewająco barwny, pomarańczowozłoty kaftan.

- Moje dziecko ma urodzić się osiemnastego listopada - powiedziała do karmiącej matki. - Będzie Skorpionem. To znak wodny. A spod jakiego znaku jest pani maleństwo?

- Nie mam pojęcia.

Toni odwróciła się, aby ukryć uśmiech. Pagan Ellis od początku ciąży była pacjentką Sophie i albo medytowała w kącie poczekalni, albo wciągała kogoś w rozmowę.

- A kiedy się urodziło? - Pagan nie dawała za wygraną.

- Szesnastego maja.

- Czyli Byk. - Pagan pokiwała głową. - Tak, nawet wygląda jak Byk.

- Doprawdy? - Matka dziecka zamrugnęła zdumiona.

- Lubi swoje jedzonko - dodała Pagan. - Pewnie wyrosnie na smakosza.

Tak jak Josh, pomyślała Toni. Też jest Bykiem. Może jednak coś jest w tej astrologii? Ale wczoraj Josh nie miał ochoty na wykwintne potrawy, pomyślała i poczuła na policzkach żar.

- Oliver nie podpisał recepty - poinformowała zaafektowana Sandy. - Mam ją przefaksować do apteki. Co zrobić?

- Idź do jego gabinetu, zapukaj, bo może akurat kogoś badać, i poproś o autograf - poradziła Toni. Stukając w klawiaturę komputera, jednym uchem słuchała pogawędki pacjentek.

- Może będzie muzykiem lub malarzem. Znawcą pięknych rzeczy, który zbije majątek na udanych inwestycjach.

- Pagan umilkła, zdziwiona przybyciem kota. - Ależ jesteś śliczny! - zawołała.

Toni kliknęła myszą, aby zamknąć plik, i zamyśliła się. Josh niewątpliwie nie dorobił się majątku. A gdyby go miał, pewnie by wszystko rozdał. Często przyjmował za darmo lub z własnej kieszeni opłacał wizyty u specjalistów. Nie posiadał domu, obecnie jeździ starym gratem, a na dodatek chce oddać względnie nowy, drogi komputer. Ale jest znawcą pięknych rzeczy. Zwłaszcza kobiet. A ona jest jedną z nich.

Na widok wchodzącej pacjentki uśmiechnęła się ośniewająco.

- Jak się pani miewa, pani Bradshaw?

Kobieta prychnęła i posłała Toni podejrzliwe spojrzenie.

- Gdybym czuła się dobrze, to chyba bym tu nie przyszła?

- Chyba nie. - Uśmiech Toni stał się jakby wymuszony.

- Zechce pani usiąść? Doktor Spencer zaraz będzie wolny.

Pani Bradshaw łypnęła groźnie na wspaniały bukiet i usiadła obok Pagan Ellis. Motorek natychmiast otarł się o nogę w grubej pończosze, lecz został zdecydowanie odsunięty.

- Nie powinno się trzymać zwierząt w przychodni - oświadczyła starsza pani. - To niehigieniczne.

Pagan odwróciła się od przyszłego smakosza i z rozbawieniem popatrzyła na swoją sąsiadkę. Toni przygryzła wargi, aby nie parsknąć śmiechem. Wątpiła, czy ponura pani Bradshaw wie, spod jakiego jest znaku, lecz Pagan Ellis prawdopodobnie zdoła się tego dowiedzieć.

Do poczekalni wszedł właśnie Josh, by poprosić kolejnego pacjenta.

- Wendy, wejdiesz teraz z Matthew?

- Coś takiego! - Młoda matka spojrzała na dziecko. -

Przez całą noc nie dał mi zmrużyć oka, a teraz zasnął. - Odsunęła maleństwo i zaczęła poprawiać stanik.

- Może ja potrymam Matthew? - zaproponował Josh. Toni oniemiała w wrażeniu, gdy Josh ułożył owinięte w kocyk niemowlę w zagłębieniu ramienia i zaczął coś uspokajająco mruzczyć. Pagan Ellis także zdumiała się tą sceną.

- O rany! - zawołała. - To cudownie ładuje twoją aureę, Josh.

Toni zaczęło dławić w gardle, więc przełknęła ślinę. Pagan nie była aż taka stuknięta, jak mogło się wydawać. Nawet siedząc po przeciwnej stronie pomieszczenia, Toni wyczuła zmianę atmosfery, gdy Josh przytulił dziecko. Była pewna, że patrzy na nie z czułością, choć nie widziała jego twarzy. Nie śmiała nawiązać z nim kontaktu wzrokowego, gdy ją mijał, prowadząc Wendy do gabinetu. Nagle ogarnęło ją bowiem przemożne pragnienie, aby trzymać w ramionach dziecko - swoje i Joshua. Siła tego pragnienia całkiem ją poraziła. A Josh zapewne wpadłby w popłoch, gdyby się domyślił, co jej chodzi po głowie.

Po bardzo pracowitym przedpołudniu zostało tylko piętnaście minut na lunch. Janet zjadła swój najszybciej i poszła przygotować wszystko do kolejnego dyżuru.

- Przez pół godziny zapisywałam Collinsa na te badania - z udawanym oburzeniem mruknęła Toni. - Naprawdę ich potrzebuje?

- Nie - bez cienia skruchy odparł Josh. - Ale to go uszczęśliwi na parę tygodni i na całe lata dostarczy tematów do opowiadania. - Usiadł wygodnie na krześle. - A my będziemy dysponować danymi do porównań, gdyby w przyszłości rzeczywiście miał jakieś problemy zdrowotne,

- Dzwonili z warsztatu. - Toni wyjęła z folii ser camembert i krakersy przyniesione na lunch, po czym przypomniała

sobie menu zaplanowane na wczorajszą kolację z Joshem, która zmieniła się w coś zupełnie innego. - Już naprawiono twój samochód - dodała pośpiesznie, czując, że się rumieni.

- Możesz odebrać go w każdej chwili.

- Nie pali się - odrzekł Josh spokojnie. - Lubię ten wy pożyczony.

- Tę kupę złomu? - zdumiał się Oliver. - Co to jest? Ford escort z 1960 roku?

- Coś w tym guście. Należał do jakiejś firmy, nawet ma resztki napisu na boku. Ale przez warstwę rdzy niewiele widać.

- Chyba dwie przecznice dalej słychać, kiedy zmieniasz biegi - ze śmiechem stwierdził Oliver. - I dam głowę, że wyciągasz najwyżej pięćdziesiątkę na godzinę. To nie w twoim stylu, Josh.

- Mimo to lubię tego grata. Ma charakter.

- Boże, umieram z głodu. - Sophie oblizwała palce po przełknięciu ostatniego kęsa drożdżówki. - Mogę zjeść twoje ciasto, Oliver?

- Nie. - Oliver błyskawicznie zabrał talerzyk z zasięgu rąk żony. - Należy do mnie. Pożarłaś swoje z herbatą.

- Oho, miesiąc miodowy się skończył. - Josh uśmiechnął się szeroko.

- Ale ja jestem głodna. - Sophie spiorunowała męża wzrokiem.

- Chcesz moją kanapkę?

- Och, dzięki, Josh. Nie będziesz nic jadł? - Sophie zawahała się.

- Nie jestem głodny. - Josh przelotnie zerknął na Toni. - Wczoraj byłem na nadzwyczajnej kolacji. Wolę nie psuć wspomnień smakiem czegoś tak przyziemnego jak kanapka.

Toni znów zrobiło się ciepło w policzki. Pośpiesznie sięgnęła po kubek, aby zająć czymś ręce.

- Mam zadzwonić do warsztatu, żeby przywieźli twoje auto i zabrali furgonetkę?

- Wspaniały pomysł. Muszę tylko coś z niej zabrać. Wczoraj po powrocie do domu nie mogłem zasnąć, więc przejrzałem szafę. Spakowałem sporo niepotrzebnych rzeczy. Wiesz, gdzie można by je oddać na cele dobroczynne?

- Spytam w misji - obiecała Toni. - Może nawet ktoś od nich je zabierze. Zabawne, ale dziś rano też pomyślałam o takich porządkach. - Nie dodała, że po wyjściu Josha ona także miała trudności z zaśnięciem.

- Wiosna tak działa - z pełnymi ustami mruknęła Sophie.

- Zaraz przyniosę ten worek. - Josh wstał i nagle się zatorczył. Byłby się przewrócił, gdyby Oliver błyskawicznie nie złapał go za łokieć.

- Do licha, co było w tej kawie? - Oliver zerwał się z krzesła. - W porządku, stary?

- Jasne. - Josh zbladł i zacisnął palce na krawędzi stołu. - Po prostu noga mi zdrętwiała. - Poruszył prawą stopą i skrzywił się. - Teraz chodzą mi po niej mrówki. - Postawił nogę na ziemi, ostrożnie się wyprostował i dopiero wtedy puścił blat. - Chyba za długo siedziałem...

Oliver beztrząsco kiwnął głową. Sophie pożądlivym spojrzeniem chłonęła ser i krakersy. Tylko Toni zaniepokojona patrzyła na Josha. Czy naprawdę nikt nie zauważył potu na jego czole?

Ani tego błysku strachu w oczach, gdy się zachwiał? W tej chwili miał równie niefrasobliwą minę jak Spencerowie, lecz Toni nadal była niespokojna. Dyskretnie obserwowała Josha, gdy późnym popołudniem przyniósł do recepcji pękaty wór.

- To są te stare rzeczy - wyjaśnił. - Niech na razie poleżą gdzieś w kącie.

- Dobrze. - Toni nie spuszczała z niego wzroku. Poczekalnia już opustoszała, a telefony umilkły. Motorek ułożył się obok grzejnika i z nadzieją spoglądał na drzwi.

- Miły z niego kiciuś, prawda? - Josh postawił torbę obok biurka Toni. - Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy rano zobaczyłem go na kolanach pani Bradshaw.

- Ją też to zdumiało. - Toni zaśmiała się wesoło.

Josh parsknął śmiechem i Toni trochę się odprężyła. Josh naprawdę dobrze wyglądał, niemal jak ktoś szczęśliwy. Może więc nie ma powodów do zmartwienia?

- To niewiarygodne, że kiedyś nazywałem cię Mokradelkiem - odezwał się ciepło. - Jesteś absolutnym przeciwieństwem czegoś wilgotnego i ciemnego. Rozjaśniasz wszystko nawet bez tego sweterka. - Sprawdził wzrokiem, czy są sami.

- Zwłaszcza bez tego sweterka - dodał przyciszonym tonem.

Toni roześmiała się uszczęśliwiona. Oczywiście, że nie ma powodów do zmartwień. Spojrzenie Josha mówiło jej, że nie zapomniał niczego z ich wczorajszego spotkania.

- Jesteś nadzwyczajną kobietą, Antoinette. Mam nadzieję, że...

Nie dowiedziała się, na co Josh liczy, ponieważ do recepcji wpadła Janet.

- Co bloczek recept na narkotyki robi w pokoju zabiegowym?! Powinien leżeć w sejfie. - Janet kucnęła i odwinęła kawałek dywanu, odsłaniając drzwiczki. - Cholera, zapomniałam numer szyfru.

Josh ruszył w jej stronę, lecz nagle przystanął i oparł się ręką o ścianę. Oczy Toni rozszerzyły się z niepokoju. Czyżby znów stracił równowagę?

- Co się dzieje, Josh?- spytała szeptem.

- Nic - syknął i spojrzał na nią tak ostro, że zamilkła.

- Jedenaście, siedemdziesiąt trzy w prawo - powiedział do

Janet, nadal opierając się o ścianę. - Potem cztery, dwadzieścia sześć w lewo.

- Dzięki. - Janet otworzyła sejf i zajrzała do wnętrza.

- Ależ tu bałagan - stwierdziła, chowając bloczek. - W razie pośpiechu trudno byłoby coś znaleźć.

- Zrobię tam porządek - obiecała Toni, patrząc spod oka na Josha. Wiedziała, że coś z nim nie tak, ale mogła przewiedzieć, jak zareagowałby na jej pytania.

- Zajmij się tym jutro, dobrze? — mruknął. - Już późno i trzeba iść do domu. Miałaś rację, Janet. Zaczyna sypać śnieg.

- Fantastycznie! - Janet przez chwilę patrzyła na wirujące za oknem białe płatki. - Oby trochę poleżał. Muszę lecieć po chłopców.

- Zauważyliście, jak biało? - Sophie odprowadziła do wyjścia ostatniego pacjenta. - Lepiej jedźmy, zanim drogi staną się śliskie.

- Dobry pomysł. - Josh skinął głową. - Zmykajcie. Do zobaczenia jutro.

Jego wzrok spoczął na Toni, a ją natychmiast rozgrzała czułość, którą dostrzegła w jego spojrzeniu. Sophie szybko wyszła, a Toni wstrzymała oddech. Czy Josh zasugeruje, aby ten wieczór też spędzili razem?

- Przykro mi, ale muszę dzisiaj uporządkować parę spraw. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Zostało mi trochę papierkowej roboty. Może nawet spróbuję sprzątnąć w szufladach. - Mruknął do niej porozumiewawczo. - Mamy jakieś puste pudła?

- Jest kilka na zapleczu.

Nie była pewna, czy powinna zaproponować swoją pomoc. Czy Josh się zirytuje, jeśli tak wyraźnie da mu do zrozumienia, że pragnie jego towarzystwa? Może uzna, że

ona szuka okazji, aby znów wypytywać o jego zdrowie. Po namyśle stwierdziła, że tym razem powinna dać mu spokój. Ale ten wniosek sprawił jej przykrość. A co gorsza, Josh zauważył jej rozczarowaną minę.

- Nie szkodzi, że dziś będziesz zajęty. - Zdobyła się na błady uśmiech. - Zawsze jest jutro.

- Wiesz co?

- Mmm?

- Włóż jutro ten czerwony sweterek, dobrze? Dla mnie.

- Jasne. - Dla Josha zrobiłaby wszystko. Zawsze.

- No to do jutra.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ale jutro nie nadejdzie. Jadąc ostrożnie do domu, nie miała pojęcia, czemu tak pomyślała. W światłach samochodu widziała obrazek jak ze świątecznej karty lub przypominający scenkę ze szklanej kuli. Wielkie, puszyste płatki śniegu szybko osiadały na śliskiej nawierzchni. Wszystko wskazywało na to, że drogi w jedynej pagórkowatej dzielnicy Christchurch wkrótce, staną się nieprzejezdne.

Bertie i Bessie nie przejęły się raptowną zmianą pogody, a Toni była zbyt rozstrojona, by zwrócić uwagę na ich miauczenie. W domu panował chłód, więc najpierw zajęła się kominkiem. Położyła na palenisku pogniecioną gazetę i trochę drewna, ale nie chciała rozpalać dużego ognia. Siedząc samotnie w blasku migotliwych płomieni, przeraźliwie tęskniłaby za Joshem. Zresztą i tak za nim tęskniła - tak bardzo, że niemal sprawiało to ból.

- Och, na litość boską! - mruknęła zirytowana, wyjmując Bessie z koszyka. - Josh miał coś do zrobienia. To tylko jeden głupi wieczór. I zawsze jest jutro. - Przysiadła na piętach i wlepiła wzrok w maleńkie płomyki.

Ale jutro nie nadchodziło, a wieczór bez Josha niemiłosiernie się dłużył. Toni zastanawiała się, dlaczego jest coraz bardziej zdenerwowana. Przecież wczoraj oboje wyznali sobie miłość. Skąd więc bierze się ten dziwny niepokój? Z powodu obaw o zdrowie Josha? Przecież zwalczył przeziębienie. I wygląda lepiej niż kiedykolwiek w ciągu kilku minio-

nych tygodni. Sprawia wrażenie wręcz szczęśliwego. Niemal kogoś... niebiańsko spokojnego.

To określenie brzmiało dziwnie w kontekście jego osoby. Josh jest wybuchowy, towarzyski, zabawny, hojny, czasem humorzasty. Zawsze lojalny i uczciwy, współczujący i mądry. Te przymiotniki doskonale określały jego osobowość. Ale... niebiańsko spokojny? Do niedawna nigdy taki nie był. Lecz ostatnio coś się zmieniło. I to bardzo. Toni instynktownie czuła, że to ona przyspieszyła tę zmianę. Ale wyznanie długo skrywanych uczuć nikogo nie wprawia w stan niebiańskiego spokoju. Nie pasuje do żadnego nowego początku. Kojarzy się raczej z jakimś końcem - w pełni zrozumiałym i zaakceptowanym.

Toni wstała, by Bertie nie łąził jej po plecach. Snując się po domu, zawędrowała do kuchni, gdzie koty z nadzieją wpatrywały się w lodówkę. Toni wyjęła z szafki torbę z ich jedzeniem i napełniła obie miseczki, lecz jej ulubieńcy ani drgnęli.

- No dobrze. - Otworzyła puszkę i wzbogaciła ich posiłek.
- Ale na tym koniec. Jeśli ta kocia potrawa wam się nie podoba, to możecie pogłodować.

Jak Josh dziś podczas lunchu. Znów. Wczoraj wieczorem Toni po raz pierwszy od wieków widziała, jak jadł. I to z wielkim apetytem. Jak ona to skomentowała? Aha: Skazaniec dostał obfity posiłek. Westchnęła. Coś dziwnego wisi w powietrzu.

Świadczą o tym różne drobiazgi, które razem wzięte są niepokojące. Na przykład te kwiaty. I ta szczególna serdeczność, jaką Josh okazywał dziś swym pacjentom - z nudnym panem Collinsem włącznie. Oraz chęć oddania komputera dzieciom Janet. Była coraz bardziej zmartwiona. Wyjęła nie zjedzonego wczoraj kurczaka, a Bertie i Bessie mruzeniem

wyraziły aprobatę. Ocierały się o jej kostki, licytując się w okazywaniu uwielbienia. Toni spojrzała na kurczaka. Potem na koty. I na ich pełne miseczki.

- A co tam - mruknęła półgłosem. - Nie jestem głodna, a kurczak długo nie poleży. - Pokroiła mięso na małe kawałki, rzuciła je na talerz i postawiła go na podłodze.

Gdy wychodziła z kuchni, Bertie i Bessie nawet nie podniosły łebków, ale mruczały jeszcze głośniejsze niż Motorek. Ich pani wreszcie zrobiła coś sensownego.

Toni przebrała się w dżinsy i sznurowane buty oraz ciepłą kurtkę. Włożyła też czapkę i rękawiczki. Czuła, że musi coś zrobić. Spacer po śniegu może rozproszyć jej smutne myśli. Wyszła na dwór i stwierdziła, że śnieg przyjemnie skrzypi pod nogami. W świetle ulicznych latarni zobaczyła dzieci z sąsiedztwa, które tłumnie bawiły się na dworze, zachwycone nieoczekiwaną atrakcją. Kilkoro z nich właśnie lepiło wielkiego bałwana. Przed furtką do ogródka stała Janice Reynolds, obserwując tę scenkę. Przywitały się serdecznie.

- Jak się miewasz, Janice?

- Jakoś się trzymam - odparła starsza pani. - Spójrz. - Janice pstryknęła palcami. - Do nogi, Max!

Zza krzaka wytoczył się tłusty, czarno-biały szczeniak. Otrząsnął się ze śniegu, stracił równowagę i klapnął na bok, po czym radośnie się podniósł i podbiegł do nich. Toni pisnęła z uciechy, a Janice się uśmiechnęła.

- Dostałam go wczoraj od znajomego. Powiedział, że potrzebuję kogoś takiego jak Max. Chyba miał rację. Samotność tak nie doskwiera, kiedy człowiek o kogoś się troszczy.

Toni skinęła głową. Przecież sama zawsze troszczyła się o Josha. Na tyle, na ile jej pozwolił. Schyliła się i poklepała psiaka.

- Ben by cię pokochał, Max. Zawsze chciał dostać psa.

- Rzeczywiście marzył o tym, prawda? - Janice westchnęła. - Ale nigdy się na to nie zdecydowaliśmy. Było tyle innych problemów. - Janice niepewnie zerknęła na Toni. - Wiesz... tak się zastanawiam, czy to naprawdę był wypadek.

- Tak? - Toni z drżeniem serca czekała na dalsze słowa Janice.

- Głupia jestem, prawda? - Janice patrzyła na nią zakłopotana. - Ale takie dziwne rzeczy chodzą mi po głowie. Na przykład to, że tamte wyniki badań były błędne. Że wirusowa infekcja Bena wywołała takie same objawy jak te, które w początkowym stadium choroby miał Jim.

Toni wydała dźwięk wyrażający współczucie.

- Chociaż to mogło nie oznaczać zupełnie nic - stwierdziła Janice. - Każdy bywa czasem niezdarny i na przykład przewróci szklankę.

Toni przyznała Janice rację. Joshowi też zdarzyło się niechcący potrącić szklankę. Niejeden raz.

- A wiele powodów może zniechęcić cię do jedzenia i utrudnić przełykanie.

Toni znów ze zrozumieniem kiwnęła głową. Kiedy Josh zjadł w pracy porządną lunch? A raz omal się nie udławił.

- Głupi wirus czasem sprawia, że trzęsą ci się ręce i tracisz równowagę.

- Fakt - mruknęła Toni. Przypomniała sobie, jak Josh zatoczył się, wstając od stołu, a wieczorem musiał oprzeć się o ścianę. - Chciałabyś znać prawdę, Janice? - spytała łagodnie. - Gdyby była inna, niż sądzimy?

- Nie - odparła starsza pani. - To już nic by nie zmieniło; Muszę teraz sama jakoś żyć. - Uśmiechnęła się do szczeniaka, który entuzjastycznie szarpał brzeg jej kalosza. -I mam Maxa, który wymaga opieki. Lepiej wezmę go do domu, zanim zmarznie.

Pożegnały się i Toni pomaszerowała dalej. Wszędzie ba-
wiły się dzieci. Większość maluchów zjeżdżała z małej góry
na plastikowych workach i spłaszczonych kartonowych pud-
łach, kilkoro miało porządne sanki i snowboardy.

Popatrzyła na rozradowaną gromadkę z sympatią, lecz sa-
ma nadal była w minorowym nastroju. Nie wiadomo dlacze-
go znów zaczęła myśleć o Janice i Benie. A także o Joshu.
I wzajemnej sympatii, jaką obaj do siebie poczuli. Ciekawe,
czy Josh skończył zaplanowane na wieczór zajęcia i czy zdo-
łał bez kłopotu dojechać do domu. Skonstatowała, że nogi
same ją niosą w stronę poradni.

W St. David's paliło się światło. Jeśli Josh zapomniał je
zgasić, to pewnie nie włączył systemu alarmowego. Kręcąc
głową, otworzyła drzwi. Jak to dobrze, że tędy przechodziła.

W holu potknęła się o czarny wór, który Josh widocznie
zabrał z recepcji. Sięgnęła po niego i stwierdziła, że jest
strasznie ciężki. Josh musiał niezłe przetrzebić garderobę.
Podnosząc worek, za mocno go szarpnęła i zerwała plastiko-
wy pasek, którym był związany. Zajrzała do środka i ze zdumie-
nieniem wyjęła marynarkę - tę od szarego, eleganckiego gar-
niture, który Josh miał na sobie, będąc drużbą. Tę samą, którą
niedawno oddała do pralni. Do klapy nadal był przypięty nu-
merek.

Josh niewątpliwie się pomylił. Z pewnością nie zamierzał
oddać tego garniture. Wyglądziła marynarkę i sięgnęła po
widoczne na stosie odzieży spodnie. Postanowiła powiesić
ubranie w gabinecie Josha i go spytać, co zrobić z resztą.

To, co ujrzała w gabinecie, niebotycznie ją zdumiało.
Obok biurka stały pudła wypełnione rzeczami z półek. Josh
właśnie zdejmował z nich ostatnie drobiazgi.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała.
- Po co tu przyszedłeś? - burknął. - Idź stąd, Toni. Jestem
zajęty.

- Wygląda, jakbyś się wyprowadzał.
 - Naprawdę? - Odwrócił szufladę biurka, a jej zawartość - długopisy, zszywacz i spinacze - hałaśliwie wylądowała na dnie kartonu.
 - Co się dzieje, Josh? - Toni weszła do pokoju i zamknęła drzwi. - Zamierzasz stąd odejść?
 - Nie mogę zostać - odparł rozdrażnionym tonem.
 - Dlaczego? - Strach ścisnął ją za gardło. - Z mojego powodu?
 - Z wielu powodów. - Wyszarpnął z prowadnic kolejną szufladę.
 - Czy to ma coś wspólnego z Benem? - Nagle pojęła, dlaczego jej myśli krążyły dziś wokół Janice, Bena i Josha. Teraz już mogła nazwać swe obawy po imieniu.
 - Przestań, Toni - warknął Josh. - Robię to dla ciebie.
 - Co takiego?!
 - Proszę cię, idź - powiedział ze znużeniem.
- Poczuła przyływ irytacji.
- Nie będziesz mi mówił takich bzdur, Josh! - zawołała gniewnie. - Postanowiłeś mnie rzucić bez słowa wyjaśnienia. To ci się nie uda. - Podeszła do krzesła, energicznie zdjęła z niego karton i usiadła, mierząc Josha rozognionym spojrzeniem. Josh odstawił szufladę i odwrócił wzrok.
 - Miałem zostawić ci list. - Szturchnął palcem leżący na biurku blok papieru. Wysunęła się spod niego nieduża kartka i spłynęła na podłogę.
 - Nie chcę żadnego cholernego listu - parsknęła, wpatrzona w kartkę, która upadła tuż obok jej stóp. Było to zdjęcie jej i Josha zrobione na weselu Spencerów. Próbowwała stłumić rozpacz. - Porozmawiaj ze mną, Josh - zażądała. - Teraz!
- Powoli zajął miejsce za biurkiem. Dzieliła ich tylko jego szerokość, lecz w tej chwili była to niemal bezdenne przepaść.

- Dobrze. - Głos Josha zabrzmiał głucho. - Masz rację, Toni. Chodzi o ciebie. O nas. I o Bena.

- Tak przypuszczałam - mruknęła. - Wiedziałam, że istnieje jakiś związek. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Na co umarł twój ojciec?

- Na zawał serca.

Toni zmarszczyła brwi. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Czyżby się myliła?

- Może raczej należałoby powiedzieć, że serce mu pękło. Z żalu - spokojnie dodał Josh. - Nigdy nie chorował. Moim zdaniem chyba chciał uciec.

- Uciec? Od czego? - spytała, a spojrzenie Josha zmroziło ją do szpiku kości.

- Od patrzenia na moją umierającą matkę.

- A ona na co zmarła? - spytała opanowanym głosem, znając już odpowiedź.

- Na płasawicę Huntingtona.

Przez długą chwilę w gabinecie panowało milczenie.

- Mój ojciec uciekł - rzekł w końcu Josh. - Tylko ja widziałem, jak matka umiera, jak coraz bardziej unieruchamia ją sztywniejące ciało. Po pewnym czasie już nie mogła chodzić ani mówić. Była na płynnej diecie i nikła w oczach. Ale zachowała świadomość. Nadal mnie poznawała, gdy ją odwiedzałem. Może wiedziała, że skończyłem medycynę. Może nawet była ze mnie dumna. - Josh z trudem przełknął ślinę. - Ale to tylko moje domysły. Wkrótce potem zmarła i właśnie wtedy zaplanowałem resztę swego życia.

Wyprostował się i jakby trochę wziął się w garść.

- Postanowiłem, że nigdy nie zgotuję komuś takiego losu jak ten, który z powodu mojej matki, choć bez jej winy, stał się udziałem mojego ojca i mnie. Nie zamierzałem nigdy dopuścić do tego, aby ktokolwiek był ode mnie zależny.

Nigdy nie miałem nawet kota. Nie chciałem, żeby ktoś cierpiał po mojej śmierci. Wykluczyłem wszelkie więzi uczuciowe.

Prychnął ironicznie.

- Zostałem internistą, aby mieć dość pieniędzy i czasu na rozwijanie zainteresowań i na wszelkie kuszące przyjemności. Kupowałem coraz to nowe samochody i podrywałem takie kobiety, które nie stanowiły zagrożenia dla mojej równowagi emocjonalnej. A gdy któraś z nich czasem zaczynała żądać więcej, po prostu zrywałem.

Toni niemal się uśmiechnęła. Awersja Josha do małżeństwa nie była więc taka irracjonalna, jak się wydawało.

- Tylko ty zdołałaś pomieszać mi szyki, Toni - przyznał ze smutkiem. - Wkradłaś się do mojego serca dzięki tym różnym drobiazgom, które są twoją specjalnością. Takim jak doniczkowy kwiatek w moim gabinecie. Podlewałaś tę roślinkę przez całe lata, choć prawie zniknęła w panującym tu bałaganie. Codziennie rano robiłaś mi kawę, a kiedy miałem kaca, dyskretnie podsuwałaś tabletki. - Uśmiechnął się. - No i jeszcze ta tablica, na której przyczepiałaś fotografie. Zawsze tak bardzo cieszyłaś się szczęściem innych ludzi, narodzinami ich dzieci. Umiałaś poradzić sobie nawet z najbardziej niegrzecznymi bachorami i z najbardziej drażliwymi emerytami. - Oparł ręce na kolanach i pochylił się do przodu. - Potrafiłaś wszystkim ofiarować więcej, niż od nich dostawałaś. I tak wspaniale opiekowałaś się swoją matką. Wiedziałem, przez co przechodzisz, i podziwiałem cię. Robiłaś dla niej dużo więcej, niż ja byłem w stanie uczynić dla mojej.

- Nie byłoby to możliwe bez twojej pomocy - zapewniła go łagodnie. - Później znów dałaś mi pracę. Po śmierci mamy dzięki tobie miałam do czego wrócić.

- Musiałem mieć cię w pobliżu - przyznał. - Przez cały

tamten rok strasznie mi ciebie brakowało. Nie mogłem pozwolić ci za bardzo się zbliżyć, ale całkiem bez ciebie nie potrafiłbym żyć.

- Nigdy nie prosiłam o więcej, niż byłeś gotów mi dać, prawda? - spytała cicho, ale on chyba jej nie usłyszał.

- Twoim zdaniem Ben nie zaznał czegoś najlepszego w życiu, ponieważ nie zdecydował się na związek z kimś kochanym. Ja też doszedłem do tego wniosku - w dzień ślubu Olivera i Sophie. Już od kilku tygodni się zastanawiałem, czy zaczynam mieć pierwsze objawy choroby. Czy to początek końca. - Oczy Josha pociemniały. - A ty właśnie wtedy tak bardzo się zmieniłaś. Ściąłaś włosy, rozpuściłaś je, a mnie kusilo, żeby sprawdzić, czy te kosmyki rzeczywiście są takie jedwabiste, na jakie wyglądają. Przestałaś nosić okulary, a ja bez przeszkód mogłem się przekonać, jakie piękne są twoje oczy. Tak długo nad sobą panowałem, lecz wtedy stało się to nadzwyczaj trudne.

- I na domiar złego zjawił się Ben - mruknęła prawie do siebie.

- Właśnie. Jego osoba przypomniała mi o moich planach. O tym, dlaczego muszę się ich trzymać.

- A wczorajsza noc? - Poczula taki ból, że musiała zacisnąć powieki. - Po co to było? - Jej głos zabrzmiał głucho.

- Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś o Benie. O tym, że jest większym okrucieństwem zostawić kogoś w nieświadomości co do swoich uczuć, niż je wyznać, nawet jeśli nie mają przyszłości. Zapragnąłem też spędzić choć jedną idealną noc z ukochaną kobietą. - Josh westchnął. - Przykro mi, Toni.

- A mnie nie. - Zmusiła się, aby spojrzeć mu prosto w oczy. - I to jeszcze nie koniec. Nie pozwolę ci odejść.

- Muszę to zrobić, zanim objawy się pogłębią. To moja

decyzja. Podjąłem ją dawno temu, gdy postanowiłem nie przeprowadzać badań.

Te słowa podziałały na Toni jak uderzenie.

- To znaczy, że nie masz pewności?

- Potrafię rozpoznać objawy.

- Na przykład jakie? - Wciąż usiłowała pojąć, jakie skutki może mieć wyznanie Josha.

- Pierwsze to skłonność do irytacji i krótkotrwałe zaniki pamięci. Rozdrażnienie wywołane kontaktami z ludźmi.

- Wszyscy czasem zauważamy u siebie takie symptomy. Może po prostu masz trudny charakter, Josh.

- Później pojawiają się mimowolne ruchy, coraz częściej zdarzają się takie rzeczy jak przewrócenie szklanki lub upuszczenie czegoś. Chód czasem bywa niepewny, człowiek traci równowagę. Dziś wcale mi nie zdrętwiała noga, tylkoomal się nie przewróciłem. Zresztą, nie pierwszy raz. Dobrze wiem, co się ze mną dzieje, Toni. Znam na pamięć objawy. Mogę ci zacytować całe rozdziały podręczników.

- Gadasz jak Collins! - zawołała ze złością. - On też wykuł się na pamięć paru rozdziałów i święcie wierzy, że ma objawy, o których czytał. Tak można wmówić sobie wszystko.

- Nie pleć, że sobie wmawiam. - Josh zerwał się na równe nogi. - Wiem, co mam.

- Bynajmniej! - krzyknęła rozjuszona. - Tylko wydaje ci się, że wiesz. I boisz się poznać prawdę. Co knujesz, Josh? Oprócz ucieczki z St. David's i ode mnie? Zamierzasz nauczyć się pilotażu i tak jak Ben mieć „wypadek”?

- Nie wiem -jęknął. - Zdecyduję, kiedy nadejdzie pora.

- Nie. - Toni także wstała. - Zdecydujemy o tym oboje. Jeśli nadejdzie pora. - Była blada, jej ciemne oczy lśniły. - Ja też mam tu coś do powiedzenia, czy ci się to podoba, czy nie,

ponieważ cię kocham. Jesteś częścią mojego życia, bez której nie mogę się obejść. Chcę być z tobą na dobre i na złe.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy? - Uśmiechnął się blado.

- Właśnie. - Broda jej zadrżała. - Już zmarnowałeś tyle lat, które mogliśmy spędzić razem. I jesteś gotów zrezygnować z Bóg wie ilu, które jeszcze są przed nami. Co z tego, jeśli nie będzie ich wiele? Na razie mieliśmy jedną noc, Josh. Tylko jedną. - Zignorowała zbierające się pod powiekami łzy. - Była cudowna. Nawet tylko jedna więcej to już dwa razy tyle.

- To nie takie proste, Toni. - Jego oczy podejrzanie błyszczały, gdy podszedł i wziął ją w ramiona. - Musiałbym chodzić na terapię, przejść liczne badania neurologiczne i psychologiczne. A wynik badania krwi na obecność tego genu dostaje się po kilku tygodniach.

- Więc przez kilka tygodni będziemy żyć nadzieją. - Uśmiechnęła się przez łzy. - A potem poznamy prawdę.

- I co dalej?

- Zmierzymy się z nią. Razem. - Odchyliła głowę, aby móc spojrzeć mu w oczy. - Mówimy nie tylko o twoim życiu, Josh. Nie rozumiesz?

Znów ją przytulił i zamknął w uścisku. Toni czuła teraz bicie ich serc, choć nie potrafiłaby powiedzieć, które jest czyje. Ale to nie miało żadnego znaczenia.

- Tak - szepnęła. - Rozumiem. Masz rację, Toni. Za bardzo się bałem poznać prawdę.

- Ale teraz to zrobisz?

- Nie. - Uśmiechnął się, a ona wyczuła to z ruchu jego warg na swojej skroni. - Zrobimy to razem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Josh dzisiaj nie przyjdzie. Źle się czuje.

Oświadczenie Toni wywołało podobny skutek co wybuch

bomby. Oliver, Sophie i Janet na prośbę Toni przyszli do pokoju

dla personelu. W poczekalni siedział tylko stary Paddy Smith,

który usadowił się przy kaloryferze i zapewne spał jak suseł.

Sandy została w recepcji, aby przyjmować ewentualne zgłoszenia,

choć z powodu pogody nie należało spodziewać się

wielu pacjentów. Opady śniegu niemal sparaliżowały miasto i

pracownicy poradni przyszli do pracy piechotą. A teraz

siedzieli wokół stołu, ze zdumieniem patrząc na Toni.

- Josh zachorował? - Janet była równie oszołomiona jak Spencerowie. - To niemożliwe. W ciągu dziesięciu lat nie wzięły ani jednego dnia zwolnienia.

- Ale dziś ma wolne - rzekła spokojnie Toni. - Josh śpi. U mnie. Mam nadzieję, że będzie spał do wieczora. Szczerze mówiąc, sądzę, że jest kompletnie wykończony.

- Cóż, od dawna źle wygląda - stwierdziła Sophie. - Sam to zauważyłeś, Oliver. Schudł i zmizerniał. - W oczach Sophie zamigotał niepokój. - Boże, chyba nie ma czegoś... złośliwego?

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Oliver wziął ją za rękę, ale patrzył na Toni. - Co, zdaniem Josha, mu dolega?

- Jeszcze nie ma pewności, ale zaobserwował u siebie kłopoty z pamięcią, drażliwość, brak apetytu, bezsenność.

- Brzmi jak depresja - mruknęła Janet. - Ale Josh to

ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o coś takiego. Choć czy ja wiem... On żyje w takim szalonym tempie.

W przypadku łagodnej depresji trudno byłoby ją zauważyć.

- A inne objawy? - spytał Oliver.

- Pamiętajcie, jak wczoraj narzekał na zdrętwiałą nogę i zatoczył się, kiedy wstał? Stracił równowagę. Nie pierwszy raz.

- O Boże! - jęknęła Sophie. - Tylko nie guz mózgu!

- Na litość boską, Sophie - skarcił ją mąż, ale miał tak poważną minę, jakiej Toni nigdy u niego nie widziała. - To może być zwyczajna infekcja wirusowa. Na przykład zapalenie ucha środkowego powoduje poważne zaburzenia równowagi i szum w uszach, czasem zawroty głowy.

- Niedawno chorował na grypę - dodała Janet.

- Ale dużo wcześniej było z nim coś nie tak - stwierdziła Sophie. - Już po naszym powrocie z podróży poślubnej zachowywał się irytująco.

- To mógł być tylko skutek stresu - oświadczył Oliver.

- Josh pewnie nie zrobił żadnych specjalistycznych badań, lecz mimo to postawił sobie diagnozę. Przypuszczalnie podejrzewa coś poważnego, skoro zwołałaś zebranie. Toni, czego nam nie mówisz?

- Matka Josha dwanaście lat temu zmarła na Huntingtona - oznajmiła po chwili milczenia, wpatrzona w swoje dłonie.

- Josh zrezygnował z badania genetycznego, ponieważ nie chciał wiedzieć o ewentualnym wyroku śmierci. - Odchrząknęła z trudem, bo głos jej się załamał. - Postanowił maksymalnie cieszyć się życiem, a byłoby to niemożliwe, gdyby nie miał nawet cienia nadziei, że jest zdrowy.

- Może jest - mruknął Oliver. - Skoro się nie przebadał... Teraz rozumiem, dlaczego postępował tak, a nie inaczej. - Powoli pokiwał głową. - Boże, przypadek Bena musiał strasznie go przygnębić.

- I na dodatek sam dźwigał ten straszny ciężar. - Oczy Sophie wypełniły się łzami.

- Już nie jest sam - oświadczyła Toni. - Josh zawsze unikał związków. Nie zamierzał mieć żony ani dzieci, żeby nikt nie cierpiał tak jak jego rodzice i on. Ale jednego nie przewidział. - Toni uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Ja go kocham. I właśnie odkryłam, że z wzajemnością. Powiedziałam mu, że przejdziemy przez to razem, niezależnie od wyniku badań. - Przesunęła wzrokiem po twarzach kolegów.

- Josh zgodził się na terapię i badania. Najbliższe tygodnie będą trudne, toteż potrzebujemy waszego wsparcia. Dlatego zwołałam to zebranie. Żeby was prosić o pomoc.

- Zrobimy wszystko, co możemy - rzekł półgłosem Oliver. - Josh to mój przyjaciel. - Uśmiechnął się do Sophie.

- Jeden z dwojga. Wiele mu zawdzięczam.

- Uważam go za kogoś z rodziny. - Głos Janet zadrżał.

- Dla bliźniaków jest jak wzór najlepszego ojca.

- Tak się cieszę, że wyznaliście sobie swoje uczucia. - Sophie uśmiechnęła się do Toni serdecznie. - Kto wie, co Josh by zrobił, gdyby tak się nie stało.

- Cóż, pewnie nigdy się nie dowiemy - mruknęła Toni. Nie zamierzała nikomu mówić o planowanej ucieczce Josha. Wczoraj wieczorem oboje rozpakowali pudła i uporządkowali gabinet. Teraz wymownie spojrzała na zegar. - To by było na tyle, moi drodzy. Chyba muszę iść sprawdzić, jak radzi sobie Sandy. Oliver, mógłbyś wraz z Sophie przyjąć dzisiejszych pacjentów Josha? W tę pogodę nie przyjdzie zbyt wielu.

- Żaden problem - zapewnił ją Oliver. - Ale nie zapisuj do mnie nikogo na popołudniowy dyżur. Mam ważną wizytę domową.

- Dzięki, Oliver. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. -

Josh może nie będzie zachwycony tym, że wam powie-
działam, ale przyda mu się twoje wsparcie. Nam obojgu.

- Sandy już się wdrożyła do pracy?

- Tak. Z dnia na dzień jest coraz lepsza.

- Wobec tego zmykaj stąd po lunchu. Zresztą oboje z
Joshem możecie brać sobie wolne, ilekroć będziecie tego po-
trzebować. My damy sobie radę. W razie czego weźmiemy
kogoś na zastępstwo.

- Chyba lepiej trzymać się dotychczasowej rutyny. Wy-
starczy atrakcji w postaci tych wszystkich testów.

- Jak to w praktyce wygląda? - z przejęciem spytała
Sophie.

- Dość poważnie - odparła Toni. - Trzeba chodzić na
sesje terapeutyczne, wykonać badanie neurologiczne oraz
może tomografię i rezonans magnetyczny. Później jest ocena
psychologiczna, a dopiero potem robi się badanie krwi. Do-
chodzi jeszcze czekanie na wynik i ewentualnie dalsza tera-
pia. - Toni potrząsnęła głową. - W tej sytuacji raczej powin-
niśmy dużo pracować, żeby nie myśleć tylko o jednym. Jakoś
się zorganizujemy. Chciałabym wszędzie chodzić z Joshem,
jeśli mi pozwoli.

Nazajutrz atmosfera w poradni była trochę smętna, ale pa-
cjenci, których przyszło wielu, nie zauważyli niczego dziw-
nego. Może personel uśmiechał się do siebie częściej niż
zwykle, może okazywał sobie trochę więcej sympatii wyraża-
nej muśnięciem ręki lub przelotnym uściśnięciem ramienia. I
może doktor Cooper po wyjściu z gabinetu spędzał w recepcji
trochę więcej czasu niż zazwyczaj. Ale przecież ten zespół
zawsze wydawał się zżyty. Wszyscy jego członkowie byli
serdeczni i właśnie dlatego ta poradnia miała coraz więcej
pacjentów.

Czasem przychodzili tu nawet wówczas, gdy nic im nie

dolegało. Ruby Murdock wpadała podczas odchudzających marszów z hantlami. Korzystała ze słonecznej, znów wiosennej pogody oraz z tego, że po powrocie córki już nie musi się opiekować trójką dzieci z wysypką. Ściskając w dłoniach ciężarki, wchodziła do recepcji, odziana w różowy lub niebieski kombinezon, zamieniała parę słów z Toni, wypijała szklanekę wody i energicznie wychodziła, rozpromieniona z powodu pochwał, jakimi ją obsypano.

- Jest inspiracją dla wielu grubasków - stwierdziła Janet po trzeciej w tym tygodniu wizycie Ruby. - Już mnie pytano, gdzie sprzedają takie hantle.

- Nikt nie chciał kupić takich kombinezonów? - Toni sięgnęła po słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- O nie nikt nie pytał - ze śmiechem odparła Janet i poczekała, aż Toni zapisze pacjenta. - Jak było wczoraj na tej wizycie u genetyka? - spytała przyciszonym tonem.

- Dobrze. - Toni uśmiechnęła się z przymusem. - Musielśmy omówić wiele spraw. Na przykład ewentualną ciążę.

- Moglibyście mieć dzieci? - W głosie Janet odezwała się nuta nadziei.

- Na razie nie. Ale to wystarczający bodziec skłaniający do wykonania wszystkich badań.

Lecz na razie Toni i Josh nie potrzebowali dodatkowych bodźców. Byli nierozłączni, jakby usiłowali nadrobić zmarnowane dziesięć lat.

- Musimy trochę pospać - późno w nocy zamruczała Toni.

- Spanie to taka strata czasu - zaprotestował Josh. - Wolałbym pogadać albo... - Zaczął delikatnie pieścić jej skórę. Wtuliła się w niego, odwrócona plecami, a on natychmiast otoczył ją ramieniem. Obecnie sypiali właśnie w takiej pozycji, jeśli w ogóle sypiali. - Toni?

- Mmm?
- Chciałabyś mieć dzieci?
- Tylko z tobą.
- To raczej wykluczone.

- Niekoniecznie.. - Odwróciła się do niego. - Zastanawiałam się nad tym, co mówił genetyk. Ryzyko, że dziecko odziedziczy ten gen, wynosi tylko pięćdziesiąt procent, jeśli rzeczywiście go masz. A badanie genetyczne można zrobić we wczesnym stadium ciąży. Moglibyśmy sprawdzić, czy dziecko jest zdrowe, zanim się urodzi.

- A gdyby nie było?

Toni milczała. Potrafiła sobie wyobrazić swoją radość z tego, że oczekuje dziecka Josha. Ale przerwanie ciąży? O tym na razie niebyła w stanie nawet pomyśleć.

- Dlatego tak przejmujesz się antykoncepcją, Josh?
- Oczywiście. I właśnie dlatego nie spałem z wieloma

kobietami.

- Ty? Chyba żartujesz. Miałeś całe tabuny kobiet. Już dawno straciłam rachubę. Przecież bezustannie balowałeś.

- To prawda - przyznał, a Toni usłyszała w jego głosie uśmiech. - Potrzebowałem towarzystwa, aby zapomnieć o problemach. Ale z powodu ryzyka seks był rzadkością. Wiedziałem, że nie wolno mi przekazać tego genu dziecku. Nie mogłem też dopuścić, aby jakaś kobieta związała się ze mną emocjonalnie. Albo żebym ja się zakochał. Choć to było mało realne, dopóki trzymałem się z dala od osób przypominających ciębie. - Przygarnął ją bliżej. - Oczywiście wolałem nie zdawać sobie sprawy z tego, że jesteś tą jedyną. Negacja to cudowny mechanizm obronny. Ale tak naprawdę liczyłaś się tylko ty. Wywróciłaś moje życie do góry nogami, Toni.

- Żałujesz tego?

- Skądże. - Przycisnął usta do jej szyi i oparł się na łokciu. Toni widziała niewyraźny zarys jego twarzy i lśnienie oczu. - Sądziłem, że znalazłem wszystkich możliwych atrakcji. Podróżowałem po świecie, jadałem wspaniałe potrawy, piłem najlepsze wina, bawiłem się w towarzystwie pięknych kobiet. Szalałem na nartach, nurkowałem w oceanach, skakałem ze spadochronem i na *bungee*, i wiesz co?

- Co?

- To wszystko nawet nie umywa się do chwil takich jak ta teraz. - Pochylił się i delikatnie ją pocałował. - To nadaje życiu taki sens, o jakiego istnieniu nie miałem pojęcia.

- Och, Josh. - Toni przygryzła wargi. - Mój świat musi ci się wydawać strasznie nudny w porównaniu z tym, jaki znasz. Nigdy nie byłam za granicą ani nie robiłam nic ekscytującego. Mam tylko pracę, dom, ogródek i dwa koty. To wszystko.

- Niezupełnie. - Znów ją pocałował. - Masz jeszcze mnie.

- Josh wygląda trochę lepiej - kilka dni później stwierdziła Sophie. - Ale jest cichszy niż zwykle i chyba trochę zmęczony.

- Za mało sypia. — Na wzmiankę o śnie Toni stłumiła ziewnięcie.

- Rozumiem. - Sophie uśmiechnęła się domyślnie. - Oliver i ja też mieliśmy ten problem. Ale ostatnio zasypiam na sam widok poduszki. Wczoraj omal nie usnęłam w gabinecie przed wejściem pacjenta. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Sophie tęsknie spojrzała na zegar. - Marzę o lunchu. Umieram z głodu.

- Wiesz, gdzie Janet trzyma takie plastikowe pojemniczki z różową zakrętką?

- Te na próbki moczu? W szafce.

- A znasz zestaw w niebieskim pudełeczku? Taki z okienkiem, w którym pokazują się paseczki?
- Test ciężowy? - Sophie uniosła brwi. - Mam ci go przynieść? Podejrzewasz, że... ?
- A myślałam, że lekarz musi być osobnikiem inteligentnym. - Toni pokręciła głową. - To nie ja ciągle przysypiam, głuptasku. Nie ja bez przerwy chodzę potwornie głodna.
- To na pewno tylko skutek uboczny stanu małżeńskiego. I tego kucia do egzaminów. Żyję w stresie.
- Zdasz śpiewająco. - Toni spoważniała. - Ja też strasznie się denerwuję. Josh ma jutro badanie neurologiczne.

Neurolog Jack McMillan był sympatycznym, siwym panem po sześćdziesiątce. Wyraził zadowolenie z obecności Toni i jej także zadał kilka pytań na temat zachowań Josha. Podzieliła się więc swoimi spostrzeżeniami poczynionymi w ciągu paru minionych tygodni. Powiedziała o drzeniu rąk, utracie równowagi i incydentach ze szklanką. Dodała też, że ostatnio te objawy się nie pojawiają. Lekarz wysłuchał jej relacji, po czym znów zwrócił się do Josha.

- Podobno przed wystąpieniem zaburzeń równowagi przeszedł pan infekcję wirusową?
- Tak. Miałem okropną grypę, ale już się wyleczyłem. Neurolog coś zapisał i spojrział na Toni.
- A co z innymi objawami? Josh wspomniał o drażliwości i zanikach pamięci.
- Josh jest trochę humorzasty od zawsze - odparła, patrząc na niego z uśmiechem. - Szczególnie łatwo się irytuje, gdy ma kaca.
- Znam to z doświadczenia. - Jack McMillan uśmiechnął się ze zrozumieniem. - To się często zdarza?

- Nie jestem alkoholikiem - warknął Josh - jeśli o to panu chodzi.

- Bynajmniej. - Neurolog wygodniej usiadł na krześle.
- Stres czasem skłania do większego spożycia alkoholu, a to wywołuje objawy przez większość ludzi uznawane za klasycznego kaca. Ale podejrzewam, że pan, z uwagi na specyficzną sytuację mógłby bardziej się nim przejąć, co jeszcze mocniej by pana zestresowało. I mamy tu błędne koło.

- Ostatnio rzeczywiście piję więcej niż zwykle - przyznał Josh. - A ponieważ mam trudności z zaśnięciem, więc przed snem zacząłem aplikować sobie szklaneczkę whisky. - Porozumiewawczo mrugnął do Toni. - Nie mówiąc o zdumiewającym dodatku różowego szampana.

Jack McMillan zrobił zdziwioną minę, lecz nie skomentował wyznania Josha, tylko wstał i otworzył drzwi gabinetu.

- Proszę przejść się po korytarzu aż do pokoju pielęgniarok i z powrotem - powiedział, po czym uważnie obserwował Josha wykonującego polecenie. - A teraz proszę pokonać połowę tej odległości, idąc w linii prostej.

Toni także przyglądała się Joshowi. Wyglądał jak podejrzany o jazdę po pijanemu kierowca, któremu policjant każe zrobić parę kroków. Z powrotem w gabinecie neurolog kazał Joshowi stać z otwartymi i zamkniętymi oczami na jednej nodze. W drugim przypadku Josh prawie natychmiast stracił równowagę. Czy to normalne? Toni przygryzła wargę.

Później Jack McMillan zbadał oczy Josha. Poleciał mu patrzeć wprost przed siebie, a sam trzymał długopis poza zasięgiem wzroku Josha.

- Proszę powiedzieć, kiedy go pan zobaczy. - lekarz zaczął powoli przesuwac długopis w prawo, potem w lewo, z góry na dół i z dołu do góry. Josh musiał następnie śledzić

ruch długopisu raz prawym, raz lewym okiem. Potem lekarz sprawdził za pomocą oftalmoskopu stan dna każdego oka.

- Nie sądziłem, że zmiany w obrębie narządu wzroku są jednym z typowych objawów Huntingtona - mruknął Josh, gdy neurolog zakończył badanie.

- Lubię dokładność - odparł lekarz. - A teraz skłonimy Josha do zrobienia paru grymasów - uśmiechnął się do Toni.

- W tym jest dobry - odparła lekkim tonem. - Zwłaszcza gdy wstanie lewą nogą.

Na prośbę neurologa Josh uniósł brwi jak ktoś zdziwiony. Potem wyszczerzył zęby jak agresywny dzikus, pokazał język, a na koniec wyduł policzki jak balony, ale długo tak nie wytrzymał. Toni zachichotała rozbawiona.

,- Sama spróbuj - mruknął z uśmiechem, lecz Toni dostrzegła w jego oczach cień niepokoju. Josh prawdopodobnie znał powody każdego testu. I zapewne notował w myśli tyle samo uwag, co Jack McMillan w jego karcie.

Później przyszła pora na zbadanie słuchu i inne testy. Neurolog ujął jego głowę w dłonie i szybko obracał ją w prawo i w lewo. Później kazał Joshowi sięść na kozetce i się odprężyć, po czym wyjaśnił, co zamierza zrobić. Energicznie pchnął pacjenta do tyłu, aby jego głowa zwisiała z krawędzi kozetki, obrócona na bok. Następnie wykonał ten sam test w taki sposób, że głowa przechyliła się w przeciwną stronę. Za każdym razem uważnie patrzył w oczy Josha.

Jack McMillan zbadał również kończyny pacjenta, sprawdził jego odruchy, napięcie mięśniowe, siłę i jakieś inne rzeczy, których Toni nie rozumiała, lecz Josh najwyraźniej wiedział, o co chodzi.

- Osobiście nie zauważyłem u siebie trzęsu kolanowego - odezwał się Josh.

- Trudno to sprawdzić na sobie - z uśmiechem odparł

lekarz. - Ale nie wątpię, że zastosował pan wszelkie możliwe metody, żeby się samodzielnie przebadać.

Ocena koordynacji kosztowała Toni trochę nerwów. Monie Josha drżały coraz silniej, trudności sprawiało mu szybkie przesuwanie palca od czubka nosa do wyciągniętego palca lekarza. Josh nie był również w stanie utrzymać w palcach kartki papieru. Podczas tego ćwiczenia Toni odwróciła wzrok. Nie chciała, aby Josh zauważył w jej spojrzeniu strach.

Sesja trwała ponad godzinę. Po jej zakończeniu neurolog wyraźnie się odprężył, a Josh sprawiał wrażenie wykończonego.

- Nie znalazłem żadnych dowodów jednoznacznie wskazujących na chorobę Huntingtona - oświadczył doktor McMillan.

Toni wypuściła z płuc powietrze, dopiero teraz uświadamiając sobie, że wstrzymywała oddech.

- A zaburzenia równowagi? - spytał Josh. - I drżenie rąk?

- Podejrzewam, że po tamtej infekcji wirusowej przeszedł pan zapalenie ucha środkowego. Jego skutki znikną przypuszczalnie za parę dni. Ale dam panu skierowanie na rezonans magnetyczny, tak na wszelki wypadek. I nie przejmowałbym się niezręcznością ruchów, która często bywa skutkiem stresu. Czasem nawet uświadomienie sobie jakichś gestów wzmacnia ich siłę. Podczas naszej rozmowy dyskretnie obserwowałem pańskie ręce. Zaczęły drżeć dopiero wtedy, gdy spostrzegł pan, że na nie patrzę. Spisałem swoje spostrzeżenia. - Neurolog stuknął długopisem w kartkę papieru. - I prześlę panu kopię tych uwag. Lecz jeszcze raz podkreśliam, że nie stwierdziłem objawów typowych wyłącznie dla choroby Huntingtona. - Lekarz spojrzał surowo na Toni, słysząc jej westchnienie ulgi. - Oczywiście nie mogę powiedzieć, że nie ma pan tego genu, a rezonans magnetyczny też

niczego nie wykluczy. Tylko badanie genetyczne da konkretną odpowiedź.

- Rozumiemy.

- Chodziliście na sesje terapeutyczne, więc wiecie, że stwierdzenie obecności genu to nie wszystko. Nie sposób bowiem określić, kiedy pojawią się objawy choroby i jak ona będzie się rozwijać w danym przypadku. Może dać o sobie znać za rok lub dopiero po wielu latach.

- Właśnie dlatego wolałbym nie wiedzieć, bo mając ten gen, w każdej chwili spodziewałbym się symptomów.

- Chyba już pan był w tym stadium, prawda?

- Wydawało mi się, że już mam wstępne objawy. Może wykreowała je moja wyobraźnia.

- Czy chciałby pan zrezygnować z dalszych badań?

- Szczerze mówiąc... - Josh napotkał przerażone spojrzenie Toni. - Sam nie wiem.

Jack McMillan powoli skinął głową.

- To z pewnością jest dla pana trudne, Josh. W przyszłym tygodniu czeka pana ocena psychologiczna, a dopiero później badanie krwi. Ma pan więc trochę czasu, aby wszystko przemyśleć i omówić z Toni. - Lekarz wstał i wyciągnął rękę. - Powodzenia. Gdyby nie udało mi się zobaczyć z panem przed wykonaniem rezonansu magnetycznego, to zadzwonię zaraz po otrzymaniu wyników. I proszę przyjść, gdybym mógł jakoś pomóc.

Podczas tego badania Toni pozwolono przebywać w pomieszczeniu technika. Przez grubą szklaną szybę patrzyła, jak ciało leżącego Josha powoli znika w głębi wrzecionowatego urządzenia.

- W porządku, Josh? - spytał przez mikrofon technik.

- Tak, dzięki.

- Teraz postaraj się leżeć całkiem nieruchomo. Usłyszysz

dziwne dźwięki o różnym natężeniu. Pierwszą serię zrobimy w jakieś pięć minut.

Wkrótce Toni ujrzała na monitorach i kliszach zdumiewające zdjęcia czaszki Josha z jej wnętrzem włącznie. Nie potrafiła jednak ich zinterpretować. Technik zauważył jej zainteresowanie.

- Dobrze wiedzieć, że facet ma coś w głowie, prawda?
- zażartował.

Toni uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od fotografii.

- Widać tu jakieś zmiany?
- Nie wolno nam komentować wyników - padła odpowiedź. - To należy do doktora McMillana.

Po południu doktor zadzwonił do poradni i powiedział Joshowi, że rezonans magnetyczny nie ujawnił niczego odbiegającego od normy.

- Można skreślić z listy kolejne badanie – radośnie stwierdziła Toni. - Jeszcze tylko ocena psychologiczna i będzie po wszystkim.

- Hm. - Josh spojrział na nią niepewnie. - Wolałbym sam iść na to badanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Miała, ale starała się tego nie okazać. Wiedziała, że rozmowa z psychologiem to dość osobista sprawa.

- Nie próbuję cię z tego wykluczyć - dodał Josh. - Po prostu już jestem zmęczony tymi wizytami u specjalistów, którzy bez przerwy mnie pytają, jak się czuję. Chwilami sam już nie wiem.

- Może właśnie dlatego próbują skłonić cię do mówienia. Ze mną też prawie nie rozmawiasz. A podczas wizyty u doktora McMillana wyglądało na to, że myślisz o rezygnacji z decydującego badania. Od tego czasu nie wspomniałeś na ten temat ani słowem.

- Mam powyżej uszu gadania o tym - parsknął gniewnie.

- I myślenia też. Przez ostatnie ćwierć wieku bez przerwy o tym myślałem i starałem się trzymać język za zębami. Teraz z kolei każą mi się wywnętrzać. Chyba można zrozumieć, dlaczego między tymi cholernymi sesjami terapeutycznymi nie chcę tego wałkować?

- Oczywiście. Przepraszam. - Toni uznała, że lepiej się wycofać. Po czym zmieniła zdanie, podeszła do Josha i mocno go objęła, a on trochę się odprężył. - Chodźmy do domu - zaproponowała pogodnie. - Nie musimy rozmawiać. Ani za wiele główkować. Znajdziemy jakieś zajęcie, które nas zrelaksuje.

- Na przykład? - Josh w końcu wziął ją w ramiona i delikatnie przytulił.

- Może gotowanie? - Uśmiechnęła się figlarnie. — Jeszcze nie udzieliłam ci obiecanej lekcji.

- Już wiem, jak usmażyć tarte ziemniaki. I zrobić francuskie grzanki. Pewnie umiałbym nawet posadzić jajka na bekonie.

- Ale bez pomidorów.

- Pomidory skreślałam - odparł zgodnie i roześmiał się. Toni poczuła, że jego napięcie nagle wyparowało. - Ależ jestem głodny.

- Ja też. - Wzięła go za rękę. - Idziemy.

W czwartek rano wszyscy zauważyli nieobecność Josha. Było wiadomo, że ma spotkanie z psychologiem, ale nikt nie poruszał tego tematu. Toni zrezygnowała z przerwy na herbatę i została w recepcji. Później poszła do barku w centrum handlowym. Ostatnio należało to do obowiązków Sandy, lecz dziś nikogo nie zdziwiło, że Toni chce odetchnąć świeżym powietrzem.

Rzeczywiście było świeże, przesycone zapachem wilgotnej ziemi i rozkwitających roślin. Toni wybrała nieco dłuższą

trasę wzdłuż rzeki Heathcote. Jej wysoki brzeg porastała gęsta, wymagająca skoszenia trawa, a rozwijające się na gałęziach wiązów przylistki nadawały koronom drzew seledynowy odcień. Na widok drepczących za matką małych kaczątek Toni przystanąła. Przez chwilę patrzyła na mamę kaczkę, która pilnowała, by każde kaczątko dzielnie wskoczyło do wody.

W pobliżu stała również młoda kobieta z dzieckiem w wózku. Maluch radośnie klaskał, najwyraźniej zachwycony uroczą scenką. Toni usiłowała powstrzymać łzy. Życie jest takie cenne, a radość może trwać tak krótko. Ile jednego i drugiego zostało dla Josha i Toni?

W drodze powrotnej kupiła bukiet narcyzów. W poradni ułożyła je w wazoniku i postawiła na biurku w gabinecie Josha. Na pewno się domyśli, skąd się tu wzięły, i zrozumie, że to symbol nadziei.

Na blacie zobaczyła kilka brudnych kubków i uśmiechnęła się smętnie. Pod tym względem Josh - mimo obietnic - wcale się nie zmienił. Jeden z kubków stał na książce i zostawił wyraźny okrągły ślad na okładce. Spróbowała zetrzeć go palcem, po czym zauważyła, że plam jest więcej. Wzięła książkę do ręki i stwierdziła, że jest to wysłużony podręcznik do neurologii. Niewiele myśląc, opadła na krzesło Josha i niemal wbrew swojej woli zaczęła kartkować książkę.

Od razu trafiła na rozdział o chorobie Huntingtona. Widocznie podręcznik otwierano w tym miejscu wiele razy. Kolejne linijki tekstu brzmiały chłodno i posepnie. Toni czytała je z rosnącym przerażeniem. „Choroba rozwija się nieubłagane. Jest nieuleczalna. Chorzy stopniowo tracą zdolność do zaspokajania swych potrzeb. Przestają chodzić, mają coraz większe trudności z przelknięciem i popadają w demencję. W późniejszych fazach choroby większość pacjentów wymaga całodobowej fachowej opieki”.

Z trzaskiem zamknęła książkę. Nie ma sensu gryźć się prognozami, skoro jeszcze nie postawiono diagnozy. A nawet, jeśli Josh odziedziczył ten gen, to i tak nie sposób przewidzieć, kiedy wystąpią objawy. Może dopiero za wiele lat? Nie wiadomo. Często ludzie wiążą się, oczekując szczęścia, po czym ich życie przerywa tragedia. Co nie znaczy, że lepiej zrezygnować nawet z krótkotrwałej radości.

Tyle tylko, że prawie nikt z góry nie bierze pod uwagę nieszczęścia, ponieważ na ogół jest ono mało prawdopodobne. Natomiast ona i Josh muszą przyjąć, że zagraża im realne niebezpieczeństwo. Pięćdziesiąt procent.

Potrząsnęła głową i wstała. Josh pewnie niezliczoną ilość razy zagłębił się w takie rozważania. Mogły z łatwością zniszczyć to, co oboje jeszcze posiadali. Zrozumiała, dlaczego Josh tak szaleńczo czerpał życie pełnymi garściami, nie chcąc - podobnie jak Ben - znać prawdy. W tej chwili Toni sama niemal żałowała, że zdecydowali się na badania. Może byłoby lepiej zachować wszystko w tajemnicy i wraz z Joshem cieszyć się każdą sekundą, mając nadzieję, że szczęście nigdy się nie skończy? Ale już było za późno, aby się cofnąć. Poza tym wiadomo, że nie da się żyć złudzeniami.

Josh wrócił do poradni pogodnie uśmiechnięty.

- Przyjmijcie do wiadomości, że jestem psychicznie zrównoważony - oświadczył. - I proszę w przyszłości mnie nie szkalować. Wszelkie oszczerstwa będą bezpodstawne.

- Założysz się? - Oliver puścił do niego oko.

- Bardzo cię wymaglowali? - spytała Sophie, jak zwykle serdeczna.

- Nie gorzej niż w banku, gdy człowiek stara się o pożyczkę - odparł Josh. - Ale zdałem. Jutro mam badanie krwi.

W pomieszczeniu nagle zapadło milczenie. Toni przesunęła wzrokiem po twarzach Janet, Olivera i Sophie. Wiedzia-

ła, o czym myślą. Ten wynik może zmienić wszystko. Pozbawić nadziei.

- Długo musisz czekać na wynik? - zapytała Janet.

- Nie wiadomo. Jest kolejka, więc w praktyce czasem trwa to parę tygodni. Oby nie za długo. - Josh ruszył do drzwi, kończąc w ten sposób krótkie zebranie personelu. - Ta sytuacja i tak za bardzo wpłynęła na nasze życie. Wracajmy do pracy.

Za długo. I jednocześnie za krótko. Minał jeden tydzień, potem drugi. Wywołany oczekiwaniem stres zaczął dawać o sobie znać. Pewnego popołudnia Toni zostawiła w recepcji Sandy i poszła do gabinetu Josha, gdy akurat nie było pacjentów.

- Chcę za ciebie wyjść, Josh. Już teraz.

- Zaraz przyjdzie na badanie Tessa Dunlop z czwórką dzieci. Później Helena Adams z matką. Bóg raczy wiedzieć, co starsza pani zmalowała w tym tygodniu, aplikując sobie leki wedle własnego widzimisię. Na dodatek muszę zadzwonić do Collinsa i omówić z nim wyniki testu wysiłkowego.

- Były dobre, prawda?

- Idealne. Pan Collins zapewne zgłosi swój udział w maratonie i przedtem zechce sprawdzić wydolność płuc. Sama więc widzisz, że jestem zajęty. Nigdzie nie wcisnę ślubu.

- Josh uśmiechnął się wesoło. - Wybacz, skarbie.

- Wiesz, o co mi chodziło. Pobierzmy się jak najszybciej. Zanim poznamy wynik.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Mówię całkiem poważnie, Josh.

- Dobrze, ja też odpowiem ci poważnie. - Wstał i położył dłonie na jej ramionach. - Tylko jedno mogłoby mnie skłonić do poślubienia cię, Toni: negatywny wynik tego testu.

- Wynik nie zmieni moich uczuć do ciebie, Josh. I dlatego chcę, żebyśmy pobrali się już teraz. Zanim się dowiemy.

- Nie - odparł szorstko. - Daj spokój, Toni.

Ale ona zbyt długo tłumiała emocje. Już dłużej nie mogła udawać pogody ducha, którą tak bardzo starali się zachować.

- Proszę cię, Josh. Nieważne, ile czasu nam zostało. Kocham cię. Pragnę dać ci to poczucie stabilizacji, jaką zapewnia tylko małżeństwo.

- Dla mnie jest cholernie ważne, ile czasu nam zostało.

- Patrzył na nią ponuro. - Mówimy o moim życiu.

- O moim też! - zawołała. - Dobrze wiesz, co miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że to nie wpłynie na decyzję o ślubie. Nasza przyszłość jest na razie wielką niewiadomą.

- Wkrótce przestanie nią być. - Głos Josha zabrzmiał głucho.

- Niektórzy ludzie decydują się na związek, nawet wiedząc, że ich wspólne życie nie potrwa długo. - Toni pośpiesznie wyrzucała z siebie słowa. - Na przykład Bob i Diane Granger. Wiedzieli, że on ma raka, kiedy się pobierali. On już był po pierwszej turze chemioterapii. Ale przeżyli razem tyle lat i maksymalnie je wykorzystali. Diane powiedziała mi kiedyś, że ich małżeństwo było czymś wyjątkowym, bo...

- Nie jestem Bobem Grangerem - przerwał jej ostro - nie mam raka i nie ożenię się z tobą. Kogb byśmy zaprosili? Olivera i Sophie? Janet? Chciałabyś widzieć w ich oczach litość? Przeświadczenie, że chwytamy się brzytwy?

- Wcale tak nie jest - odparła z przekonaniem. - Czemu tego nie rozumiesz?

- Czemu ty nie rozumiesz? - warknął. - Czemu wciąż nalegasz? Nie jestem gotów do małżeństwa. Może nigdy nie będę.

Twarz Toni zbielała.

- Nawet jeśli wynik będzie negatywny?

Odwrócił się plecami i odetchnął głęboko, usiłując nad sobą zapanować. Gdy znów spojrzął na Toni, w jego oczach malowała się skrucha, lecz usta były mocno zaciśnięte.

- Może to, że wciąż jesteśmy razem, potęguje stres, Ten problem wciąż nam towarzyszy i zatruwa każdą chwilę.

- Przepraszam. - Przygryzła wargi, zła na siebie, że zaog-
niła sytuację. Żadne z nich nie potrzebuje więcej cierpienia.

- Chyba powinienem na parę dni wrócić do siebie.

- Nie! Tak mi przykro, Josh. Już nigdy o tym nie wspo-
mnę. Zapomnijmy, że w ogóle poruszyłam ten temat.

- Trudno o tym zapomnieć. W tej rozmowie oboje za-
nadto lawirujemy, usiłując wielu rzeczy uniknąć. To jest jak
gra. Coś nieprawdziwego.

- Moja miłość do ciebie jest prawdziwa. - Głos jej się
załamał, a pod powiekami zapiekły ją łzy.

- Moja też. - Josh uśmiechnął się tkliwie. - Ale teraz
ranimy się nawzajem. Przyda nam się małe rozstanie.

Toni z trudem przełknęła ślinę.

- Jeśli tego chcesz, Josh.

- Tylko parę dni.

- Dopóki nie dostaniemy wyniku?

- Tak. Dopóki się nie dowiemy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Hej! - Janet pomachała dłonią tuż przed nosem Toni.
- Ktoś tu jest?
 - Eee... co? - Toni zamrugła zdumiona.
 - Nie słyszałaś ani jednego mojego słowa, prawda?
 - Nie. Przepraszam, Jan. Co mówiłaś?
 - Właśnie przeglądam katalog. Potrzebuję nowego stroju. Który wybrać: ten w paski z fałdami czy ten na suwak i z pagonami?
 - Wolałabym paseczki.
 - Ja chyba też. Niebieskie, seledynowe czy wiśniowe?
 - Nie, dzięki. - Toni podniosła kubek do ust, po czym zajrzała do niego i zdumiona odstawiła na blat. — Zabawne, ale nie pamiętam, żebym piła. Wypiłaś moją kawę?
 - Od lat piję tylko herbatę. - Janet z westchnieniem zamknęła katalog. - Jesteśmy dziś na tej samej planecie?
 - Wybacz. - Toni uśmiechnęła się skruszona.
 - Często dziś powtarzasz to słowo.
 - Wiem. Przekazałam dzisiaj trzy skierowania. To, które miało trafić do gastrologa, poszło do urologa, a to do wenefologa wylądowało u gastrologa. Recepcjonistka bardzo się uśmieła. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że zazwyczaj zajmują się innymi częściami ciała, ale przyda się trochę urozmaicenia.
 - Ross wrócił po te próbki, które zapomniałaś mu dać?

- Na szczęście tak. Dzisiaj jestem bezużyteczna. Dobrze, że po południu przyjdzie Sandy. Wtedy odetchniecie.

- W porządku. - Janet serdecznie ścisnęła jej dłoń. - Rozumiemy cię. To czekanie musi być dla was okropne. Chyba wkrótce wszystko się wyjaśni?

- Tak. Dzisiaj.

- Jak Josh się trzyma?

- Głównie milczy.

- Nie jest wam łatwo. Ale dla Josha to o wiele gorsze.

- Ja tylko chcę go wspierać.

- Może potrzebuje trochę luzu, żeby wziąć się w garść.

Perspektywa jest przerażająca. A niezależnie od wyniku życia Josha ulegnie zasadniczej zmianie.

- Moje też. Czasem głęboko wierzę w naszą szczęśliwą przyszłość, a potem nagle tracę całą nadzieję. Raz wpadam w euforię, raz w rozpacz.

- Josh też przez to przechodzi - przypomniała Janet.

- Ale beze mnie - mruknęła Toni. - Powinniśmy być razem. Przecież... - Raptownie drgnęła, gdy zadzwonił telefon.

- Ja odbiorę. - Janet już podniosła słuchawkę telefonu w kuchni i poprosiła o chwilę cierpliwości, po czym wyłączyła mikrofon. - Gdzie Josh?

- Pojechał zbadać pana Tylera. Podejrzewał udar.

- Lepiej nie zapisuj do Josha nikogo na popołudnie - poradziła Janet. - A po przyjsciu Sandy oboje idźcie sobie na przykład na spacer po plaży. Gdyby zadzwonił neurolog, podam mu numer komórki Josha.

- Niezły pomysł. - Toni uśmiechnęła się do Janet i umyła kubki. Wracając do recepcji, spotkała Olivera.

- Sophie umiera ze strachu — mruknął. - Jest taka zdenerwowana, że rano miała torsje.

- Naprawdę? - Toni szczerze się zdumiała. Przyjacielskie

wsparcie to jedno, ale żeby aż tak się przejąć Joshem... I nagle pojęła, w czym rzecz. Wynik badań nie był dziś jedyną ważną rzeczą dla personelu poradni. - Na pewno zaliczy tę praktykę na szóstkę - zapewniła z przekonaniem. - Kiedy zdaje pisemny egzamin?

- Za dwa tygodnie.

- Wspaniale. Gdy dostanie dyplom, trzeba będzie oblać przyjęcie nowego współpracownika. I nowej recepcjonistki. Nasza poradnia rozkwita.

- Na razie atmosfera jest jak przed wybuchem. Całe to napięcie... Jak ty i Josh sobie radzicie?

- Tak sobie.

- Dzisiaj będzie wiadomo?

- Tak. - Usłyszała brzęczenie telefonu. - Wybacz, Oliver, ale chyba powinnam odebrać.

Od razu wyczuła, że chodzi właśnie o tę wyczekiwaną informację. Doktor McMillan zadzwonił osobiście. Co to oznacza? Dobrą wiadomość? A może wręcz przeciwnie? Ton specjalisty niczego nie zdradzał, gdy neurolog poprosił o połączenie z Joshem.

- Przykro mi, doktorze, ale wyjechał na wizytę domową. Może coś mu przekazać? - spytała z wahaniem.

- Proszę wybaczyć, ale tym razem to niemożliwe.

- Tak, oczywiście. Ja tylko...

- Czy Josh ma telefon komórkowy? - przerwał jej neurolog.

- Naturalnie. Już podaję numer. - Gdy odłożyła słuchawkę, bezwiednie przycisnęła dłoń do ust. W wyobraźni widziała, jak lekarz wystukuje kolejne cyferki. Niemal usłyszała sygnał telefonu Josha. Serce łomotało jej jak oszalałe. Może teraz już rozmawiają? Jak długo to potrwa? Czy Josh zaraz się do niej odezwie, czy po wizycie u pacjenta?

Mijały kolejne minuty. Toni zaczęła otwierać pocztę, lecz zaraz porzuciła to zajęcie. Wpatrywała się tępo w stojącego przed nią młodego mężczyznę, który dwa razy powtórzył swoje nazwisko, zanim zdołała je zapisać. Spojrzał na nią dziwnie i poszedł do pustej poczekalni. Do recepcji weszła Janet, by wziąć kartę. Pacjent Olivera zapłacił za poradę. Oliver poprosił następnego do gabinetu. Czas płynął Odmierzany bezlitosnym ruchem wskazówek zegara.

A Josh nie dzwonił.

Może stan pana Tylera okazał się poważny, może neurolog jeszcze nie zdołał skontaktować się z Joshem? Albo może zaprosił go do siebie, aby omówić wynik w cztery oczy?

Toni wytrzymała jeszcze godzinę, po czym zadzwoniła na komórkę Josha. Po trzech sygnałach usłyszała wiadomość, że abonent jest niedostępny. Później próbowała złapać Josha jeszcze parę razy - z tym samym skutkiem co poprzednio. O drugiej poszła do banku, aby choć na parę chwil zapomnieć o czekaniu. Gdy wróciła, Sandy powitała ją pogodnym uśmiechem.

- Przed chwilą dzwonił Josh.

- Gdzie jest? - Zmierzyła Bogu ducha winną dziewczynę ponurym spojrzeniem, a Sandy zamrugła zdumiona.

- W szpitalu. Załatwia przyjęcie jakiegoś pana Taylora.

- Tylera - warknęła Toni. -I?

Biedna Sandy głowiła się, co takiego zrobiła. Nie miała pojęcia o dramacie, którym ostatnio żyli jej koledzy.

- I... musi zrobić parę rzeczy, więc po południu nie przyjdzie.

- O Boże! - Toni chwyciła słuchawkę i znów wybrała numer komórki Josha. - Zamknij się! - syknęła, słysząc informację z taśmy. Bliska łez, nagle spojrzała na oszołomioną Sandy. - Och, przepraszam, to nie było do ciebie. Po prostu ciągle słyszę ten durny automat.

- Josh wspomniał, że później odezwie się do ciebie.
- Co mówił? Błagam cię, przypomnij sobie. To może być ważne...
- Niech pomyślę... Już wiem! - z triumfalnym uśmiechem zawołała Sandy. - „I niech Toni się nie martwi”. Tak powiedział.

Niech Toni się nie martwi.

Niech ryba nie pływa.

Niech księżyc nie wschodzi na aksamitnej czerni nieba.

Idąc przez skąpany w srebrzystym blasku ogród, Toni czuła pod stopami szelest sztywnej trawy. Jak na tę porę roku przymrozek był wyjątkowo silny. Zadrżała z zimna i spojrzała w okno. Promieniowało ciepłym światłem, lecz mimo to ona niechętnie wracała z przechadzki do domu. Zbyt wiele godzin bezskutecznie czekała na telefon. I na dzwonek do drzwi.

O trzeciej nad ranem jej rozpacz zmieniła się w gniew. Jak Josh mógł jej to zrobić? Jak można tak potraktować kogoś kochanego? Może on wcale jej nie kocha. A przynajmniej nie kocha jej tak jak ona jego. Może dostał dobrą wiadomość i uznał, że znajdzie sobie kogoś lepszego niż kobietę, która chciała być z nim w trudnych chwilach. A może nowina okazała się zła, więc spakował się i wyjechał. Nie, tego by nie uczynił. Przecież obiecał, że przejdą przez to razem. Nawet jeśli jego miłość nie przetrwa, to słowa na pewno dotrzyma.

O czwartej była gotowa zatrzaskać mu drzwi przed nosem, gdyby się pojawił. Była przerażona i jednocześnie taka wściekła, że chętnie by go udusiła. A o czwartej trzydzieści znów wpadła w rozpacz i zwinięta w kłębek w rogu kanapy żałośnie się rozszlochała.

O piątej trzydzieści usłyszała pukanie do drzwi.

- Cześć, Josh. Przypuszczałam, że to ty. - Była wykończona i jej głos miał drewniane brzmienie.

- Włóż płaszcz, rękawiczki i czapkę. - Twarz Josha nie wyrażała dosłownie nic. - Na dworze jest lodowato, a chcę cię gdzieś zabrać.

Nie spytała, dokąd i po co. Posłusznie się ubrała, zamknęła dom i wsiadła do samochodu Josha.. Oboje milczeli, ale cisza działała dziwnie kojąco. Toni uznała, że jadą porozmawiać.

Josh ruszył w stronę miasta. O tej porze jeszcze było ciemno, a ulice - opustoszałe. Minęli śródmieście i wjechali do parku Hagleya. Z powodu zimna nad powierzchnią rzeki Avon unosiła się para wodna. Drzewa nadal były tylko czarnymi sylwetkami, a gęsta mgła falowała pomiędzy pniami jak na jakimś horrorze. W alejkach biegano kilka osób, a obok parkującego samochodu dał susa czyjś pies.

- Teraz się przebiegniemy. - Josh chwycił rękę Toni i poprowadził ją w kierunku rozległego trawnika. Zauważyła na nim małą ciężarówkę oraz kilka krzątających się osób. I nagle ujrzała błysk płomieni.

- Co to, Josh? Dokąd idziemy?

Zwolnił i otoczył ją ramieniem.

- Zobaczysz. Czekalaś tak długo, więc jeszcze parę minut nie zrobi różnicy, prawda? - Spojrzał tak błagalnie, że serce Toni boleśnie się ścisnęło.

Gdy podbiegli bliżej, stwierdziła, że źródłem płomieni jest wielki palnik. Co chwilę go włączano, o czym świadczył groźny dźwięk. A gorące powietrze szybko wypełniało balon, do którego była przymocowana wielka wiklinowa gondola.

- Cześć, Josh - powiedział jeden z mężczyzn. - To twoja dama?

- Oczywiście. - Josh uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zabrał Toni z domu.

- Jestem Mack i będę waszym pilotem. Lecimy za jakieś dziesięć, minut.

Wielka czasza balonu była we wspaniałych, tęczyowych kolorach. Toni zauważyła pasy zielone, niebieskie, jasnożółte i pomarańczowe. A na czerwonym tle znajdowały się srebrzyste gwiazdy. Pokryta szronem trawa lśniła, drzewa wokół miały bajkowe kształty, wszystko wyglądało wręcz nierealnie. Na tyle nierealnie, że Toni bez obaw wsiadła do gondoli i wcale się nie przejęła, gdy ziemia zaczęła się oddalać.

Daleko nad horyzontem pojawiła się najpierw czerwona luna, a potem złociste światło. I nagle całe niebo rozjarzyło się wspaniałym blaskiem wschodzącego słońca.

Płynęli w powietrzu jak ptaki. Wolni i swobodni. Tylko we dwoje, bo Mack dyskretnie trzymał się z tyłu. W tym magicznym momencie Toni spojrzała na Josha.

- Kocham cię - szepnęła.

- Mam wynik, Toni. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się pozbierać. Znaleźć najlepszy sposób, żeby ci powiedzieć...

- To zdumiewający wybór - odparła z uśmiechem. - Wiem, że powinnam być przerażona, ale nie jestem. Kocham cię.

- Możemy polecieć, dokąd zechcesz. I już nigdy nie musisz się bać, gdy będę z tobą.

Wzięła głęboki oddech, a lodowate powietrze boleśnie wypełniło płuca.

- Wynik jest dobry?

- Wynik - powoli powiedział Josh - jest idealny.

- Negatywny?

- Całkowicie. Nie mam Huntingtona. Nie przekażę go moim dzieciom i... - Josh uśmiechnął się od ucha do ucha.

- I nie mam wymówki, żeby ci się nie oświadczyć.

- Tak! - zawołała radośnie.

- Czyżbym miał wymówkę?

- Nie! Chciałam powiedzieć, że tak, wyjdę za ciebie.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałunkowi towarzyszył syk palnika, lecz żar, który ogarnął Toni, jej zdaniem nie pochodził z tego źródła.

- Mack? - Josh niechętnie uniósł głowę i spojrzał na pilota. - Pamiętasz o szampanie?

- Już podaję, doktorze.

- Plastikowe kieliszki - z aprobatą stwierdziła Toni. -

Ale szampan nie jest różowy.

- Niektórych rzeczy najlepiej nie ujawniać - mruknął Josh, a Toni zrozumiała, o czym mówił. O dawno zaplanowanej ucieczce i ewentualnym pójściu w ślady Bena Reynoldsa.

- Święta racja - przyznała. Uśmiechnęli się do siebie, świadomi łączącej ich więzi. - Josh? Jak wrócimy do domu?

- Tam na dole sunie naszym tropem ciężarówka. Wiesz? Po wylądowaniu pojedziemy nią do miasta. Pewnie nawet nie spóźnimy się do pracy.

- Nie chcę dzisiaj tam iść. Mam wrażenie, że nie spałam od paru tygodni. Ta dobra wiadomość całkiem ścięła mnie z nóg. Tak bardzo się bałam.

- Ja też. Gdy poznałem wynik, poczułem niemal rozczarowanie. Nie mogłem uwierzyć, że tak się myliłem, że zmarowałem taki kawał życia. A potem ogarnął mnie wstyd. I gniew. Ale w końcu się opanowałem. I na szczęście przypomniałem sobie, że kilka dni temu załatwiłem ten lot balonem.

- Jesteś wykończony. - Poglaskała go po policzku. - Chorowałeś i żyłeś w koszmarowym stresie. Przyda ci się długi wypoczynek.

- Też tak sądzę. - Josh wyjrzał z gondoli. - Lądujemy.

- Och, nie! Dopiero się przyzwyczajam do latania. Chyba jeszcze nie chcę stawiać nóg na ziemi.

- Jakoś temu zaradzimy. Może zaplanujemy sobie długą podróż poślubną? Sześciotygodniową? Gdzieś w egzotyczne, spokojne miejsce. Żeby złapać oddech, zanim wrócimy do rzeczywistości.

- Dokąd pojedziemy?

- Gdzieś daleko od zgiełku. Oboje nie stajemy się młodszy - szepnął jej do ucha. - Co powiesz na powiększenie rodziny podczas miodowego miesiąca?

- Jestem za. - Oczy jej rozbliły się. - Znajdźmy tropikalną wyspę. Tylko pomyśl: palmy, złota plaża i pogoda, która pozwala nie zawracać sobie głowy ubraniami.

- Doskonały pomysł. Popłyniemy na Pacyfik lub Karaiby.

- Kiedy?

- Jak najszybciej. Chcesz wziąć ślub tu czy na wyspach?

- Musimy pobrać się tutaj albo sprawimy wszystkim zawód. O rany! - Toni raptownie wciągnęła powietrze. - Oliver, Sophie i Janet jeszcze nie wiedzą! Nie znają twojego wyniku.

- Naszego wyniku - poprawił ją i chwycił w ramiona, gdy gondola uderzyła w ziemię i podskakując, pokonała jeszcze kilkanaście metrów.

- Idealne lądowanie! - z dumą zawołał Mack.

- Idealne! - zgodzili się unisono, patrząc sobie w oczy.